NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie kor 6·25 Półrocznie kor. 12·50. Rocznie kor. 25. — Do Niemiec: Kwartalnie 6 kor. 90 hal. Półrocznie 13 kor. 80 hal. Rocznie 27 kor. 60 hal. z przesyłką pocztową. — W Ameryce: Kwartalnie 7 kor. 55 hal. Półrocznie 15 kor. 10 hal. Rocznie 30 kor. 20 hal., z przesyłką poczt.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

Telefon Nr. 479.

Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: **M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.**

Numer pojedynczy 50 halerzy.

Rok XIV. Kraków, 21. lipca 1917. Nr. 29.

Decydujące walki.



Kościół w Lens, na zachodnim froncie, zniszczony granatami angielskimi.

Decydujące walki.

Punkt ciężkości działań wojennych przeniósł się obecnie na front wschodni, gdzie ofenzywa rosyjska zatacza coraz szersze kręgi. Według dotychczasowych jednak obserwacyi, taktyka zaczepna jest znowuż ta sama, co w lecie roku zeszłego, kiedy to Brusiłow pchnął w bój olbrzymie masy żołnierza rosyjskiego, nagromadzone w tym celu, by żeru nie zabrakło armatom. Także kierownictwo Rosyi rewolucyjnej bez namysłu składa z niezliczonych istnień ofiarę molochowi wojny, byle jakiś sukces osiągnąć, wie bowiem doskonale, co za następstwa mieć będzie musiało tym razem niepowodzenie ofenzywy. A więc mamy do czynienia z taktyką rozpaczy, taktyką gracza, który rzucił na stół ostatnią stawkę i teraz z całem naprężeniem nerwów czeka, co będzie: wygra, czy przegra.

Na stosunkowo ciasnym froncie natłoczyły się najlepsze wojska rosyjskie w takich masach, że przewaga liczebna nieprzyjaciela nie może najmniejszemu podlegać powątpiewaniu. Na tę przewagę liczono też po stronie rosyjskiej, jako na czynnik rozstrzygający. Obliczenia rosyjskie zawiodły. Jak zwykle zresztą.

Ale na zebraniu potężnych mas ludzkich nie poprzestał nieprzyjaciel. Przez szereg miesięcy pobudowano sposobem angielsko-francuskim sieć okopów, które zapełniły wojska i wśród których gromadzenie się ich, jakoteż zestawienie w szyk bojowy, może odbywać się bez żadnych przeszkód.

Swieżo silnie wzmocniona została rosyjska artylerya. Urosła przedewszystkiem, i to znacznie, liczba ciężkich dział, których już w jesiennej kampanii było niestosunkowo wiele. Znaczna część ich pochodzi z Francyi, jakoteż Anglii. Także personalu do obsługi tych dział dostarczyli alianci. Stąd w pierwszych tygodniach po rewolucyi, gdy wojska ożywiła przedwczesna nadzieja bliskiego pokoju, niejednokrotnie zdarzało się, że wysyłały one parlamentarzy, przepraszając, ilekroć angielscy i francuscy artylerzyści obrzucali ogniem pozycye sprzymierzonych.

O wielkim zasobie amunicyi świadczy okoliczność, że front sprzymierzonych ostrzeliwany był z niepraktykowaną dotąd intenzywnością. Ale bezowocnie. Już zresztą gwałtowność palby działowej rosyjskiej osłabła. Czyżby dno przezierało w skrzyniach z zapasami amunicyi?

Obok opancerzonych kolosów automobilowych, posługują się Rosyanie również działami wielkiego kalibru przesuwanemi na szynach, podobnie, jak kto widziano w Val Sugano, podczas ostatniej ofenzywy włoskiej. Jedno z tych dział, uczestniczące w bojach pod Brzeżanami, miało potworny wprost kaliber 45 cm.

Podstawą dla wysyłki dowozów wojska, amunicyi i żywności jest obecnie Tarnopol, stolica tej połaci wschodniej Galicyi, którą dzierży w swej okupacyi Rosya. Sieć kolejową, rozbiegającą się z Tarnopola, rozszerzyli Rosyanie i przystosowali do celów swego frontu. Nagłówkowe stacye owych linii sięgają tak daleko w pobliże linii bojowej, że dalekonośne działa sprzymierzonych niejednokrotnie dawały im się odczuć w sposób bardzo niemiły. Także inne komunikacye zostały przez Rosyan w ciągu ostatnich miesięcy ulepszone i naprawione.

Zatem nie omieszkali Rosyanie pod każdym względem przygotować się należycie. Jeśli mimo tego skutek zawiódł, przypisać to należy bohaterskiej iście obronie sprzymierzeńców, męstwu i wytrwaniu wojsk ich, które nauczyły się wśród największych przeciwieństw zdobywać sobie sukcesy, ba, tryumfy i tutaj też zyskają je



Decydujące walki: Austryacka armata górska na pozycyi w Alpach.



Decydujące walki Fragment z frontu południowo-zachodniego, na którym z taką brawurą walczą z Włochami nasi bohaterowie.

znowu, a nieprzyjacielowi raz po raz zadają krwawe klęski.

Gwałtownym atakom rosyjskim sekundują walki i na innych frontach. We Flandryi, w Szampanii, jak również i na froncie włoskim toczą się dalej zacięte bitwy, które i teraz, pomimo zaabsorbowania państw centralnych walką na wschodzie, nie przyniosły koalicyi żadnych sukcesów. Przeciwnie, w ostatnich dniach zarówno Francuzi, jak i Anglicy przypłacili swe ataki poważnemi klęskami.

Na wszystkich zatem frontach rozgorzały obecnie, przy końcu trzeciego roku wojny, zacięte walki, które niewątpliwie wchodzą w stadyum rozstrzygające. Wiele objawów wskazuje, że wojna zbliża się ku końcowi, a na frontach toczą się ostatnie decydujące zapasy.

Warszawa w dobie obecnej.

Kordon graniczny, który dawniej dzielił Warszawę od Krakowa, zniknął wprawdzie z horyzontu, mimo to przecież, ze względu na okoliczność, iż Warszawa znalazła się w okupacyi niemieckiej, komunikowanie się ze stolicą Polski jest i dziś bardzo utrudnione.

A Kraków śledzi z ciekawością życie warszawskie i radby stamtąd otrzymać jak najczęściej i najpewniejsze wieści, każdą więc wzmiankę, która stamtąd nadejdzie, chwyta skwapliwie, ciesząc się, że powoli stosunki warszawskie wracają do równowagi, a życie się jako tako układa.

Życiem warszawskiem zajmujemy się jednakowoż nie tylko my, ale i Niemcy, czego dowodem szereg pięknych illustracyi, zamieszczonych w niniejszym numerze, a wykonanych według fotografii, nadesłanych nam przez jedną z ajencyi niemieckich. Przedstawiają one różne momenty z życia Warszawy, a, patrząc na nie, nikt nawet nie pomyślałby, że pochodzą z kraju, zniszczonego pożogą wojenną i dopiero przygotowującego się, by rozpocząć nowe, samodzielne życie, zrzuciwszy ze siebie więzy, które go od przeszło wieku krępowały.



Warszawa w dobie obecnej: Żołnierze niemieccy zwiedzają pod przewodnictwem Legionistów ogród pałacowy w Łazienkach



Śmierć pancernego „żółwia": Tank, czyli żółw pancerny angielski, zniszczony przez Niemców.

Śmierć pancernego „żółwia".

W ostatnich czasach Anglicy wprowadzili do walki olbrzymie wozy pancerne, t. zw. „żółwie" (po angielsku tanki). Są to właściwie ruchome twierdze, uzbrojone we wszystkie rodzaje broni, które wjeżdżają na pozycye nieprzyjacielskie, siejąc dokoła śmierć i zniszczenie.

Jak donoszą obecnie sprawozdania ze wschodniego frontu, armia rosyjska podczas obecnej ofenzywy posługuje się także pancernymi żółwiami.

Walkę z tym olbrzymem i jego śmierć na polu walki opisuje barwnie paryski „Journal":

„Ciężka machina — pisze — przetoczyła się przez sferę ognia zaporowego i stanęła przed niemieckiemi liniami. Za każdym razem, gdy tank czynił pauzę w swym pochodzie, jeden z jego karabinów maszynowych dawał strzały do uciekających przed nim nieprzyjaciół. Gdzieś z oddali biły niewidzialne armaty. Ich strzały, za krótkie, lub za długie, z lekkim miauczeniem padały na ziemię obok niezranionego potwora, który, poprzez zasieki i roztrzaskane pnie drzew, sunął przed siebie ku jakiemuś nieznanemu celowi. Nagle machina skręca gwałtownie, staje i natychmiast zaczyna grzmieć jej działo.

Sześć armat bije obecnie w tank, eksplozye następują jedna po drugiej, słupy ziemi i odłamki granatów ze wszystkich stron policzkują żelaznego zwierza, którego boki drżą. Wtem potwór porywa się naprzód i szarpanymi ruchami sunie na zieleniejące krzaki tarniny, która jakby cudem ocalała przed pociskami armat. Ostatnia żywa gałązka, ostatnia zieleń, jaka zdołała jeszcze ostać się pod stopą wojny, pada ofiarą wozu bojowego, którego zadanie właśnie na tem polega, aby dzieło zniszczenia uczynić tak pełnem, że pełniejszem już stać się nie może.

Z labiryntu rowów nieprzyjacielskich szaleją kule, dzwonią o twardą łuskę pancerną, białymi obłokami wybuchają wokoło mnogie ręczne granaty, a równocześnie podkopy ziemne pod ciężarem toczącej się masy zapadają się.

Dwóch szaleńców niemieckich rzuciło się na potwora i wdrapują się na niego. Jeżeli niczego nie wskórają, stalowy kolos strąci ich z siebie. Jeden z nich, wysoki, rudowłosy, odkrył w tanku wentyl i przez ten ciasny otwór usiłuje przemocą wepchnąć ręczny granat. Skoro to nie udało się, wyciąga mały rewolwer i strzela do środka. Szybko jednak z okrzy-



Warszawa w dobie obecnej: Przystań Towarzystwa żeglugi parowej na Wiśle w chwili nadejścia parowca pasażerskiego.



Warszawa w dobie obecnej: Dzień kwiatka na ulicach Warszawy i gmin okolicznych.

kiem bólu wyciąga z otworu skrwawioną rękę: ostry sztylet odciął mu trzy palce.

W tej samej chwili kolos wykonuje szybki zwrot i strąca z siebie obu straceńców.

Na prawo i na lewo suną inne podobne potwory, jakby niesamowite stado apokaliptycznych tworów baśni. Artylerya niemiecka chce je dosięgnąć. Następuje wybuch po wybuchu, wozy mkną w morzu czarnego dymu.

Nagle — trzask, zgrzyt: motor skonał. Pryska olbrzymi snop płomieni.

Równocześnie z wnętrza żelaznego rumaka wypadają fantastyczne postacie, wpół nadzy żołnierze zdzierają z siebie konwulsyjnie płonące skórzane ubrania, a zarazem, mimo parzących ran, rozpaczliwie bronią się sztyletami i rewolwerami przed grupą Niemców, którzy już do nich dopadli.

Z tanku, trafionego śmiertelnie, buchają jasne płomienie, a wybuch skrzyń z amunicyą z grzmotem rozrywa jego cielsko. Wkrótce zostaje z niego bezkształtny stos metalu. Tak zginął..."

Sezon operowy w Krakowie.

(Do illustracyi na str. 10).

Sezon operowy krakowski rozwija się nader pomyślnie i wykazuje ustawiczny postęp ku lepszemu. Obchód ośmdziesiątej rocznicy urodzin Wład. Żeleńskiego dał asumpt do świetnego wznowienia dwuaktowego „Janka", w którym kunszt reżyserski dyr. T. Trzcińskiego odniósł istotny tryumf, jeżeli się zważy, że tekst opery jest dosyć ubogi w akcyę i mało daje pola do wyzyskania. Bezpośrednio po „Janku" rozpoczęła gościnne występy ulubienica Krakowa, p. Jadwiga Dębicka, wraz z małżonkiem swym, świetnym kapelmistrzem, p. Piotrem Stermichem. Jako Butterfly, jest p. Dębicka, jak wiadomo, niezrównana; dobywa z tej roli wszystkie rysy charakterystyczne i akcenty, które postać gejszy, zawierającej „kontrakt małżeński na lat 999" czynią prawdziwą i głęboko wzruszającą. P. Dębicka ma u nas wystąpić w swojej świetnej kreacyi, w Mozartowskiem „Uprowadzeniu z seraju, które to dzieło wystudyuje z naszym zespołem p. Stermich. W miejscowym zespole coraz większe uznanie zyskuje sympatyczny tenor, p. Stępniowski, którego rozwój, i jako śpiewaka i aktora, znamionuje niemal każdy nowy występ.



Decydujące walki: Ośmnastocentimetrowy moździerz austryacki na pozycyi w Alpach.



Austryackie pozycye na szczytach alpejskich.

Decydujące walki:



Austryackie schronisko na włoskim froncie.

Adam Wiaryga-Minieski.

MAŁŻEŃSTWO WOJENNE.

Powieść z dni ostatnich.

— Wiesz, Konradzie, jabym chciała pomówić z tobą o twojej żonie. — powiedziała Lola do brata w przeddzień jego wyjazdu.

— Mów, Lolu, o co chodzi... Z radością widzę, że ci się Józia podoba... Bo podoba ci się, nieprawdaż?

— Tak. Podoba mi się. Jest śliczna, milutka sympatyczna... Otóż właśnie dla jej dobra chciałam ci wspomnieć...

Lola urwała, jakby szukając dalszych słów do wypowiedzenia swojej myśli.

— Coś tak uroczyście zaczynasz. — uśmiechnął się Konrad.

— Nie żartuj, bo ja mówię bardzo poważnie. Otóż... czy nie mógłbyś na czas twojej nieobecności uniezależnić trochę Józię od... mamy...

Brat zrobił wielkie oczy.

— Jakże ja to mogę przeprowadzić?... I po co?... Dlaczego?...

Znajdowali się teraz w salonie. Był to wielki pokój, ciemnawy, ponury, bez słońca i duszny, jakby rzadko przewietrzany.

Urządzony z stereotypową przeciętną elegancyą — miał ten sztywny, nieswojski wygląd pokojów, w których się nie mieszka, a tylko „przyjmuje" się.

Lola wskazała bratu dużą palmę w porcelanowym wazonie, ustawioną na naśladującej marmur kolumnie. Wachlarzowate liście miały żółte brzeżki i rdzawe piętna, barwę jakąś nienaturalnie brudno-zieloną, a cała roślina zdawała się omdlewać. czy też nawet usychać...

— Widzisz tę piękną palmę?... Jak ona marnuje się... Nie ma tutaj ani odpowiedniego światła, ani powietrza, zresztą nasza służba nie umie jej pielęgnować...

— Skądże ci przyszła na myśl ta palma?... Cóż to ma do Józi zresztą?

— Widzisz, twoja żona przedstawia mi się jako piękny kwiat, który potrzebuje dużo słońca, dużo powietrza, swobody i umiejętnej ręki... Jest zdrowa, śmiała, żywa, wesoła, otwarta... W nieodpowiedniej atmosferze może się wypaczyć, skrzywić, zardzewieć, uschnąć...

Konrad wzruszył ramionami.

— Trochę dziwaczne porównanie i strasznie pensyonarsko-książkowe. Skądże wogóle takie obawy...

— Widzisz, mama jest surowa, czasem bardzo nawet ostra w postępowaniu i... nie łudź się, mama niezupełnie przekonała się do Józi...

Konrad niecierpliwie zmarszczył brwi.

— To już jej rzecz, żeby sobie mamę umiała zjednać... Sądzę, że jej się to z łatwością uda...

— A ja myślę inaczej... Masz racyę, moje porównanie Józi z rośliną szwankuje mocno... Roślina nie ma woli i możności oporu, ale człowiek może nie zechcieć, może nie pozwolić, żeby łamano jego indywidualność... Znam mało Józię, ale zdaje mi się, że ona...

— Gadanie! Józia jest rozsądna i potrafi się zastosować... Nic jej się przez to złego nie stanie. Musi się zresztą zastosować! — dokończył twardo, tonem, który przypominał panią Żarnicką w chwilach, gdy stanowczo i niezłomnie objawiała swoją wolę.

— Jak uważasz... Ja powiedziałam swoje. — odparła siostra i zaczęła przeglądać jakieś świeżo kupione nuty.

— — — — — — — — — — — — — — —

Pani Żarnicka własnoręcznie pakowała niewielki, skórzany kuferek, przeznaczony dla Konrada do wojska. Zręcznie i umiejętnie układała bieliznę, drobiazgi tualetowe, wiktuały i papierosy, starając się jak najwięcej pomieścić rzeczy.

Zajęta tą robotą nie odwróciła nawet głowy, kiedy do pokoju cicho wsunęła się Józia.

— Jabym pomogła mamie. — odezwała się.

W głosie młodej kobiety dźwięczała prośba. Tak bardzo pragnęła zająć się temi przygotowaniami i tak boleśnie odczuła to, jako krzywdę, że ją od tej pracy usunięto.

— Nie przeszkadzaj — rzuciła opryskliwie pani Żarnicka — to nie do ciebie należy.

Oczy Józi błysnęły nagle stalowo, ruchliwe nozdrza kształtnego noska rozdęły się. Już miała na ustach jakieś harde słowo, gdy wtem w przedpokoju głośno i jękliwie zadźwięczał dzwonek.

— Konrad! — zawołała i w jednej chwili wybiegła.

— Mógłabyś trochę więcej powagi zachować. — posłała za nią uwagę świekra, ale tego już Józia nie słyszała.

Otworzyła drzwi i zawisła na szyi wchodzącemu mężowi.!

— Nareszcie przyszedłeś!

Przygarnął ją ku sobie i mocno całował, nie zważając, że w niedomkniętych drzwiach ukazała się roześmiana twarz pokojówki.

— Konradzie! — ozwał się głos pani Żarnickiej — Chodź tutaj do mnie, moje dziecko. Mam ci coś do powiedzenia.

— Idę, mamo. — wypuścił żonę z objęć.

Ale w Józi zaczynał się już budzić bunt. Chwyciła męża za rękę i chmurnie trochę powiedziała:

— Nie! Teraz ja muszę cię mieć choć chwilę dla siebie. I ja chciałabym ci coś ważnego powiedzieć. Przeproś mamę, bo ja cię teraz nie puszczę.

Konrad roześmiał się.

— Ależ dobrze, dobrze, mały tyranie... Mamusia wybaczy, bo nie jest tak niecierpliwa, jak ty...

Poszli do swego pokoju.

- No, cóż Józik miał mi tak ważnego do powiedzenia? — zapytał, ogarniając ją znowu ramieniem — Oj! Ty, pieszczoto moja! Ty, słodka żonko, ty!... Jak ja będę tęsknił za tobą!...

Namiętnie, pożądliwie zaczął całować miękkie, jedwabiste, pachnące puchy włosów i oczy jasne i usta świeże, słodkie, szkarłatne.

A ona oddawała mu pocałunki i pieszczoty z całą siłą swojego wybuchowego temperamentu.

Na chwilę zapomnieli o wszystkiem, co było poza nimi, opętani jakimś szałem upojenia.

Józia pierwsza odzyskała przytomność, wysunęła się z ramion męża i jakimś omdlewającym głosem szepnęła:

— Dosyć, dosyć... Konradzie... Ja chciałam naprawdę z tobą pomówić.

— O czem, kochanie?

Wbiła wzrok w podłogę i chwilę milczała. Wreszcie wybuchnęła:

— Konradzie! Weź mnie ze sobą!... Ja z tobą pojadę!...

Żarnicki spojrzał zdumiony.

— Ależ, Józiu, to niemożliwe... Jak ty sobie to wyobrażasz?!

Owinęła mu znowu ręce dokoła szyi i, tuląc swoją twarz do jego twarzy, prosiła:

— Weź mnie, weź!... To przecież możliwe!... Ja wiem... Jedna moja znajoma pojechała także z mężem i była przy nim przez cały czas, póki był „w kadrze". To nie będzie dużo kosztowało. Ja się najskromniejszem zadowolę, będę choć kątem gdzie mieszkała, bylem była przy tobie...

Konrad pieszczotliwie pogładził złotawo-bronzowe warkocze żony, ale potrząsnął przecząco głową.

— To niepodobna. Czy nie rozumiesz sama, że to zupełnie dziecinny pomysł. Józiu, toż ty już nie dzieciak jesteś, ale dorosła osoba, poważna mężatka... Miejże trochę rozsądku i zastanów się...

Dziewiętnastoletnia mężatka, przytulona do ramienia męża, zaczęła szlochać gwałtownie.

— Weź mnie, weź... Ja nie chcę tutaj zostać. — mówiła wśród łkań.

Konrad odsunął ją trochę od siebie i spojrzał jej uważnie w zalane łzami oczy.

— Józiu, powiedz prawdę, ty się boisz mojej matki?...

— Boję się...

— To źle, to bardzo źle i nierozsądnie. — powiedział, marszcząc brwi — Mama ma względem ciebie najlepsze zamiary i będzie opiekować się tobą, jak córką. Ty zaś powinnaś starać się ją pokochać...

Józia nie odpowiadała. Przestała płakać, otarła oczy chusteczką i szarpała palcami nerwowo cieniutki batyst.

— Moje dziecko — ciągnął dalej Konrad — mnie i tak boleśnie rozstawać się z tobą, więc nie utrudniaj mi pożegnania niedorzecznymi pomysłami i dziecinnemi obawami... Pozostawiam cię bowiem pod najlepszą opieką...

Żona milczała.

— No, cóż, dlaczego nic nie mówisz?... Przecież, po zastanowieniu, przyznasz mi, że mam racyę.

— Tak, masz racyę — powiedziała wreszcie cicho — a ja byłam rzeczywiście dziecinna i nierozsądna i zrobiłam ci przykrość. Przepraszam.

Zrobiła śliczną, pokorną minkę. Konrad, rozrzewniony, uczuł nagle w sercu coś, jakby niepokój. Przypomniał sobie, co mu mówiła Lola. Może matka rzeczywiście... Trzeba się jednak nad tem zastanowić...

— Słuchaj, Józieńko, powiedz mi, czy...

Nie dokończył, bo w tej chwili zapukano do drzwi.

— Proszę! — zawołał Konrad.

Uchyliły się drzwi i ukazała się w nich Joasia.

— Pani bardzo prosi, żeby pan przyszedł.

— Ach! Prawda, zapomniałem, że mama czeka... Już idę... Czekaj, Józiu, zaraz wrócę...

Wybiegł, pozostawiając żonę samą z jej niewesołemi myślami.

— — — — — — — — — — — — — — —

Na stacyi w Łykowie zebrała się spora gromadka osób. To rodziny i najbliżsi przyjaciele świeżo powołanych pospolitaków, którzy właśnie odjeżdżać mają do wojska.

Gwar rozmów... szczebiot dzieci... gdzieniegdzie ciche szlochanie kobiece...

Matki i ojcowie żegnają synów... żony mężów... dzieci ojców... siostry braci... dziewczęta narzeczonych, lub przynajmniej sercu najbliższych...

Chwile ciężkie, ostatnie, najbardziej denerwujące...

Już, już za niewiele minut odjadą. Czy na długo? Któż wiedzieć może?... Czy powrócą? I tego nikt nie wie...

Sami pospolitacy podnieceni, obładowani kuferkami, zasypywani pożegnalnymi wykrzykami, starają się zachować spokój, jak przystoi żołnierzom, ale nie wszystkim to się udaje.

Niektórzy nadrabiają jako tako miną, ale są i tacy, którzy nie mogą opanować zdenerwowania, niezdolni są ukryć wzruszenia.

Jakiemuś wychudłemu człeczynie, ubranemu w wytarte już palto i zrudziały „kaszkiet", spływają jedna za drugą grube łzy na długie, obwisłe wąsiska...

Wstydzi się tej słabości, ociera kraciastą chustką oczy i nos, próbuje się uśmiechnąć do żony, która go odprowadza, ale te uparte łzy powracają znowu nieproszone, niewiedzieć skąd się biorą...

Młody, smukły, szczupły chłopak trzyma w swych dłoniach rękę bladej, jasnowłosej dziewczyny i szepcze jej coś cicho, szybko, gorączkowo.

Kilku najmłodszych „rekrutów" zaczyna śpiewać zawadyacką piosenkę żołnierską:

„Jak mnie oddawali,
To mi powiadali,
Do „landwer" na tydzień
Dziewczyna każdy dzień,
Umta—umta, umta drata.
Dziewczyna każdy dzień."

Jakoś chór nie podejmuje melodyi, piosenka przycicha i milknie wkrótce.

Ludzie mają sobie zadużo do powiedzenia w tej chwili pożegnania, aby im się chciało śpiewać...

Stara wieśniaczka, z twarzą pomarszczoną, jak suszone jabłko, obejmuje za szyję rosłego parobczaka:

— Jantoś!... Jantoś!... Ady pamiętaj! A nie dajze się zabić!... A toć tyś u mnie ostatni!... Ostatni!... Niechze cie Matka Boska prowadzi i ochrania!... A nie zabaczyłeś sobie ksiązki do modlenia?... ani śkaplerza?...

— Nie zabaczyłem, mamusiu — odpowiada jakimś nienaturalnie cienkim, widocznie bardzo wzruszonym głosem, syn — a jak Wawrzek będzie jechał z urlopu, to mi przez niego przyślijcie chleb i jaki garnuszek masła...

Młody jeszcze mężczyzna, o zmęczonej, żółtawej twarzy, z pochylonemi plecami i trochę kabłąkowatemi nogami, tak charakterystycznemi dla szewców, udziela żonie ostatnich rad i napomnień:

— Pilnuj dzieci i warsztatu. Tych huncwotów chłopaków dobrze w garści trzymaj, a szczególnie na Walka uważaj. Ten hycel tylkoby żarł, a nic nie robił i, jak nie dopatrzyć, to mu się i do palców co przylepi... Żeby się też to, na com całe życie harował, nie zmarniło, Panie Boże broń, przez to, że mnie wzięli...

— Już ty bądź o wszystko spokojny... Ja przecie pomyślenie swoje mam, ano i, jak potrzeba, rękę niezgorszą. — odpowiada żona, posiadająca nad mężem imponująca przewagę tuszy — Tylko pisz, a często!...

Inna kobieta podaje mężowi dzieci do pocałowania — jedno po drugiem, pięcioro drobiazgu... Najstarsza dziewczynka nie ma pewnie jeszcze lat dziesięciu, najmłodsze bobo nie może liczyć więcej, jak dwa lata.

— A za zasiłkiem chodź, urzędnikom w uszy kładź, że potrzebujesz bardzo... Żeby długo nie zwłóczyli...

Owdzie znowu wystrojona, mocno zesznurowana mamusia przykłada do oczu uperfumowaną chusteczkę, żegnając różowego, dobrze odżywionego synka, który robi wielce płaczliwą minę.

— Romeczku, uważaj na siebie; nie przeziębiaj się!... Tyś taki delikatny!... Szynkę zjedz odrazu, bo się zepsuje!... Papierosy włożyłam między bieliznę!... I sto kartek już zaadresowanych!... Żebyś codzień przynajmniej jedną przysyłał!... A pamiętaj o tem, co ci mówiłam!... Ty już wiesz?...

— Wiem, mamo...

Gdzieindziej gruba, ciężko sapiąca żydówka, w pluszowym, ale poplamionym i zatłuszczonym żakiecie i w przekrzywionym, jedwabnym kapeluszu, szepcze młodzieńczykowi o bladej, ascetycznej twarzy do ucha jakieś tajemnicze przestrogi.

Ale już czas wsiadać.

Ostatnie słowa pożegnalne... ostatnie pocałunki, uściski rąk i konduktorzy zaczynają zatrzaskiwać drzwiczki wagonów.

Pospolitacy cisną się do okien jeden przez drugiego, aby jeszcze choć chwilę popatrzyć na swoich.

Dopiero teraz wszczyna się prawdziwe zamieszanie.

Półgłośny gwar zamienia się w hałas. Krzyżują się okrzyki.

— Zostańcie z Bogiem!...

— Bywajcie zdrowi!...

— Wracajcie prędko!...

— Boże, prowadź!...

— Nie martw się o mnie!... Bądź spokojna! Myśl o twojem zdrowiu i o dzieciach!...

— Uważaj na siebie!...

— Pisz codziennie!...

— Donoś natychmiast o wszystkiem!...

— Do widzenia!...

— Konradzie!...

Zdławiony, rozpaczny krzyk rwie się z piersi Józi Żarnickiej. Młoda kobieta rzuca się ku mężowi, od którego dotychczas odgradzała ją matka.

Konrad tuli do ust ręce żony, chciałby jej powiedzieć jakieś dobre, serdeczne, pokrzepiające słowa, ale wzruszenie mąci mu myśli, tamuje głos.

— Wsiadać!...

Teraz znowu matka chwyta syna w objęcia, przybliża się Lola i... Konrad wskakuje do pociągu.

Józia uderza nagle w głośny, rozdzierający, spazmatyczny szloch.

Swiekra twardym uściskiem chwyta ją za ramię.

— Zaprzestań histerycznych komedyi! — rzuca jej do ucha — Robisz ze siebie widowisko i sprawiasz tylko Konradowi przykrość...

Te słowa wywierają natychmiastowy skutek. Józia przestaje płakać, ociera łzy, tłumi łkanie i próbuje się uśmiechnąć.

Chce dorównać świekrze, chce pokazać się pozornie równie spokojną, jak ona.

Bo pani Żarnicka nie pozwoli sobie zdradzić się z swemi uczuciami i, jak w duchu mówi, nie zrobi nikomu tej „przyjemności", żeby patrzył na jej łzy.

Jak wszyscy ludzie o chłodnem usposobieniu i oschłem sercu, przekonana jest, że widok cudzego cierpienia sprawia pewnego rodzaju satysfakcyę, to co Niemiec nazywa „Schadenfreude".

Przeciągły, przeraźliwy świst lokomotywy rozdarł powietrze. Jeszcze jedno chóralne: „bywajcie zdrowi, do widzenia" i... pociąg rusza z miejsca, znacząc za sobą ognistą smugę iskier.

Jeszcze chwilę widać w oknach stłoczone głowy, jeszcze wiewają chustki i kapelusze, ale pociąg mknie coraz szybciej i znika z przed oczu tych, którzy pozostali na stacyi.

— — — — — — — — — — — — — — — —

— Do domu idziemy! — rzekła krótko pani Żarnicka, zwracając się do córki i do synowej.

Przyspieszyła tak kroku, że Józia i Lola pozostały za nią nieco wtyle.

Józia dopiero teraz spostrzegła, że jest przedmiotem żywej obserwacyi, że zaciekawione spojrzenia, przeważnie kobiece, kierują się ku niej. Łykowskie panie oceniały i krytykowały jej twarz i kapelusz, uczesanie i buciki, figurę i ubranie.

Józia nie była wcale nieśmiała i przywykła do tego, że powierzchownością swoją najczęściej czarowała ludzi, teraz jednak, z właściwą sobie wrażliwością, wyczuła, że z tych, skierowanych ku niej, oczu płynie raczej prąd niechętny.

I nie myliła się. Była młoda, ładna, obca, porwała łykowskim pannom najniespodziewaniej w świecie jednego z nielicznych w mieście kawalerów i to jeszcze bogatego i w dodatku takiego, o którym marzyła niejedna główka panieńska i nie tylko panieńska.

Nie brakło młodszych mężatek, które niechętnem okiem spoglądały na panią Konradową. A cóż dopiero mówić o mamach, posiadających córki na wydaniu.

Wszystkie te jednak krytyczne, mało życzliwe spojrzenia, niewiele Józię obchodziły. Przeciwnie, dodały jej jakiegoś bodźca. Podniosła głowę trochę wyżej i pozwoliła łykowskim starszym i młodszym paniom, pannom i panienkom zobaczyć swoje cudne, turkusowe oczy, zamglone jeszcze trochę i wilgotne od łez.

Nagle drgnęła i jakby magnetyczną jakąś siłą pociągnięta, odwróciła głowę ku jednej z przypatrujących się jej kobiet.

Bo też niezwykłe były to oczy, które na nią spoglądały. Bardzo duże, prawie nadmiernie wielkie — tak czarne, że źrenica zdawała się rozpływać niemal w tęczówce, gorączkowo jakoś błyszczące i dziwnie bystre, mądre, przenikliwe.

Miały te oczy w sobie głąb niezbadaną, płonęły ogniem, który szedł od wewnątrz i zdawały się nie patrzeć na człowieka, ale chłonąć w siebie jego rysy.

To też tylko te oczy godne były uwagi, w tej twarzy ściągłej, chudej, o cerze kremowo-żółtawej, bez śladu rumieńca i nieregularnych rysach.

Oprócz oczu, włosy czarne jak skrzydło kruka, upięte nisko na szyi w luźny, niedbały węzeł, zadziwiać mogły bogactwem i jedwabistym połyskiem.

Trudno było na pierwszy rzut oka określić, w jakim wieku jest ta kobieta. Mogła mieć lat i dwadzieścia kilka i trzydzieści i nawet więcej.

Twarz była młoda jeszcze, ale miała wyraz, właściwy tylko kobietom, które już dużo żyły i dużo zrozumiały.

Szorstkie, zamaszyste ruchy, jakby więcej męskie, niż kobiece, harmonizowały doskonale z ubraniem dosyć gustownem, ale odznaczającem się pewnem lekceważeniem szczegółów, a po części i mody.

Kapelusz, oryginalnie i śmiało, choć wcale nie wyzywająco wygięty — i znać było, że nie wymyśliła go żadna modniarka. Spódnica wbrew obowiązującej tego sezonu modzie, była obcisła, choć nie nadmiernie wąska. Żakiet krojem przypominał męskie, luźne palto.

— Kogóż to Larchówna odprowadzała? — zagadnął niedaleko od Józi jakiś głos kobiecy.

— Nikogo. Pewnie tylko chciała zobaczyć, jak się Żarnicki będzie żegnał z żoną.

— Aha! Tak!... Naturalnie!... Ta musi być wściekła!... Jej się nie udało, a tu jakaś smarkata, ni stąd, ni zowąd... Ale, à propos, jak się pani podoba ta młoda Żarnicka. Bo mnie, nieszczególnie.

— I mnie także. Nic nadzwyczajnego. Miał się też w czem zakochać!...

— Kto wie, czy się zakochał!... Podobno go zmusiła!...

— Chyba, że tak, bo inaczej, to doprawdy nie rozumiem... A jak fatalnie ubrana!... Któraż szanująca się kobieta nosi teraz taki kołnierz!...

— Albo ten żakiet!... Ta czapka!... Zupełnie, jak pensyonarka... Że też to Żarnicka nie wstydziła się jej tak pokazać.

— A cóż, jeszcze jej stroje ma sprawiać? No, ale dobrze tak starej. Dęła się i dęła, zaklętej księżniczki dla syna szukała, dla każdej panny jakąś przyganę znalazła i teraz ma!...

— Jak to ludzie przesadzają! Mówili, że piękna, a tymczasem ani się kończy, ani się zaczyna... Ot! Taka sobie!...

— No, nie można powiedzieć, żeby była brzydka! — zauważyła towarzyszka, widocznie nieco sprawiedliwsza.

— Ani brzydka, ani ładna!... Zupełnie pospolita! No, a to ubranie, prawda, Tuśku? — zwróciła się dama do swego męża, który postępował obok niej w milczeniu.

— Co?... — Łysawy, starannie wygolony Tusiek tak się zapatrzył na Józię, że zupełnie nie słyszał tego, co żona i jej przyjaciółka mówiły.

— Prawda, że ta Konradowa Żarnicka nic nadzwyczajnego? Jakaś niby niezgrabna i zupełnie źle ubrana.

— Źle ubrana, powiadasz?... Może ja się na tem nie znam... Ale cukierek!... — dokończył i aż mlasnął lekko pełnemi, czerwonemi, zmysłowemi wargami.

Żona spiorunowała go wzrokiem i pogardliwie wzruszyła ramionami, obciągniętemi modną, szeroką, futrzaną peleryną.

— Co się wam, mężczyznom, wszystko nie podoba!... Za grosz gustu nie macie!...

Te panie usiłowały wprawdzie mówić cicho, ale miały tak piskliwe, donośne głosy, że Józia, gdyby była mniej zamyślona, mogłaby niejedno słowo z ich rozmowy posłyszeć.

Na szczęście jednak nie słyszała nic. Natomiast do uszu jej teściowej musiała dobiedz, któraś z tych uwag, bo pani Żarnicka zaczerwieniła się nagle, co jej się bardzo rzadko zdarzało, obróciła się ku Józi, obrzuciła ją złym, nieprzyjaznym wzrokiem i ostro powiedziała:

— Chodź prędzej!... Czego się tak wleczesz? Czy chcesz, żeby wszyscy dokładnie podziwiali twój przedpotopowy żakiet i czapkę, dobrą dla podlotka?...

Józia uczuła na policzkach gorąco wypieków. Wprawdzie nie myślała ona teraz o ubraniu, jednak próżność jej kobieca była przykro dotknięta.

Wiedziała ona o tem dobrze, że żakiet za krótki, dwukrotnie już przerabiany, pamiętający przedwojenne czasy, pozostawia dużo do życzenia pod względem elegancyi. Jednak dotychczas nie martwiła się tem wcale, choć lubiła, jak mówiła Walczakowa, ładne „gałganki".

Dopiero teraz to brutalne przypomnienie. Józię oburzyła niedelikatna uwagi pani Żarnickiej i postanowiła ją odeprzeć.

— Nie każdy musi małpować modę, a zwłaszcza w takich czasach — powiedziała.

Było to, co prawda, nie jej własne zdanie, ale także od Walczakowej zasłyszane.

— Proszę — rzuciła świekra — co za filozofia abnegacyi... Ciekawam, czy cała twoja garderoba tak po spartańsku wygląda...

Józia opanowała się i zmilczała. Przez całą drogę powrotną do domu nie powiedziały do siebie już ani słowa.

ROZDZIAŁ V.

Józia miała już wsunąć się pod kołdrę, kiedy zapukano lekko do drzwi jej sypialni.

Narzuciła prędko na nagie ramiona biały, haftowany kaftanik i zawołała:

— Proszę.

Drzwi uchyliły się cicho i ukazała się w nich Lola, także już w nocnym kaftaniku, w halce i miękkich, filcowych pantoflach na bosych stopach.

Panienka bez szelestu zamknęła drzwi, przemknęła lekko przez pokój i usiadła na skraju łóżka Józi.

— Chciałam z tobą porozmawiać jeszcze trochę... tylko cyt! Cichutko, żeby mama nie słyszała...

— Czyż mama nie pozwala ci rozmawiać ze mną? — zapytała żywo bratowa.

— Nie! Nie o to idzie... — tłumaczyła się trochę zmieszana Lola — Tylko, że już jest późno, a mama jest zwolenniczką regularnego życia... Ale mniejsza o to...

— Wcale nie mniejsza — westchnęła Józia — powiedz mi, Lolu, szczerze... Jak myślisz, czy ja zdołam kiedy pozyskać twoją matkę?...

— Nie wiem, Józiu...

— Ona mnie nie cierpi!

— E! No, nie cierpi... zaraz nie cierpi... Przesadzasz mocno. — mówiła Lola, unikając wzroku bratowej.

— Nie mówisz w tej chwili tego, co myślisz. Zresztą ja sama wiem.

— E! Daj temu spokój!... Mama, jak mama! Nie warto się tem truć... O czem innem chciałam mówić z tobą!... Pewnie ci bardzo smutno, że Konrad odjechał?...

W oczach Józi pokazały sie nowe łzy...

— Pytasz o to?...

— No, nie płacz, nie płacz!... Szkoda twoich oczu! Powiem ci na pociechę, że on tam sobie da radę!...

— On, taki wątły, rozchoruje się!...

(Ciąg dalszy nastąpi.)





Postępy oświaty w Królestwie Polskiem: Kuchnia szkolna w Pińczowie. Cerowanie i łatanie bielizny w szkole ludowej powiatu pińczowskiego.

Postępy oświaty w Królestwie Polskiem.

Na terenie, okupowanym w Królestwie Polskiem przez wojska austryackie, nader baczną uwagę zwrócono na rozwój szkolnictwa, na wszelkich jego stopniach, za dawnych, rosyjskich czasów nadzwyczaj zaniedbanego. Koniec roku szkolnego 1917. dał sposobność przekonania się, iż trudy i starania sfer kierujących nie poszły na marne, szkolnictwo bowiem, zwłaszcza na najniższym stopniu, to jest ludowe, w krótkim stosunkowo czasie doszło do takiego rozkwitu, jakiego nawet nie można się było spodziewać. Zasługa to ciała nauczycielskiego, które dołożyło wszelkich sił, by, pomimo trudnych nieraz warunków, doprowadzić do pomyślnego rezultatu.

Początkowo odnosiła się ludność miejscowa z pewną nieufnością do nowego porządku szkolnego, który nazywano „austryackim", z czasem przecież otwarły się oczy i trzymającym się z największą rezerwą, że to przecież szkoła polska, która uczy myśleć po polsku, budzi ducha narodowego i przygotowuje do przyszłego, praktycznego życia.

Ten typ praktyczności, jaki nadano szkołom w Królestwie, przypadł szczególniej do gustu ludności miejscowej. Gdy się przekonano, że w szkole uczą nie tylko czytać, pisać i rachować, ale, że uczniów zapoznaje się z ogrodnictwem i pszczelnictwem, różnemi robotami ręcznemi, uczenice zaś z gospodarstwem domowem, gotowaniem, szyciem — powoli zaczęły tajać lody, a spłynęły zupełnie, gdy miejscowe nauczycielstwo, swą gorliwością, poświęceniem i taktem umiało sobie zjednać uznanie i zaufanie. Nawet ci, którzy dawniej namawiali innych, by stronili od nowej szkoły, zgłaszają się dziś z prośbą, by ich dzieci na naukę przyjęto.



Postępy oświaty w Królestwie Polskiem: Nauczycielstwo okoliczne na uroczystem zakończeniu roku szkolnego 1916/17 w szkole ludowej w Pińczowie. Siedzą od lewej ku prawej ręce: Inspektor szkolny Taras, komendant powiatu, płk Mayer, starosta dr Pawlikowski.

Rozwój szkolnictwa i podniesienie oświaty na całej przestrzeni Królestwa Polskiego, podzielonego dziś między okupacyę austryacką i niemiecką, będą tem świetniejsze, im rychlej ono dostanie się pod wyłączne kierownictwo miejscowych czynników, to jest departamentu wyznań i oświaty Rady Stanu. To przecież, co dotąd zdziałano na tem polu, pozwala już rokować na przyszłość jak najlepsze nadzieje.

Szereg illustracyi zamieszczonych w niniejszym numerze, daje Czytelnikom sposobność przekonania się o rozwoju i postępie szkolnictwa w Królestwie Polskiem. Odnoszą się one do powiatu pińczowskiego, gdzie obowiązki inspektora szkolnego pełni niestrudzony pracownik na niwie pedagogicznej p. Taras.

Przesilenie w Niemczech.

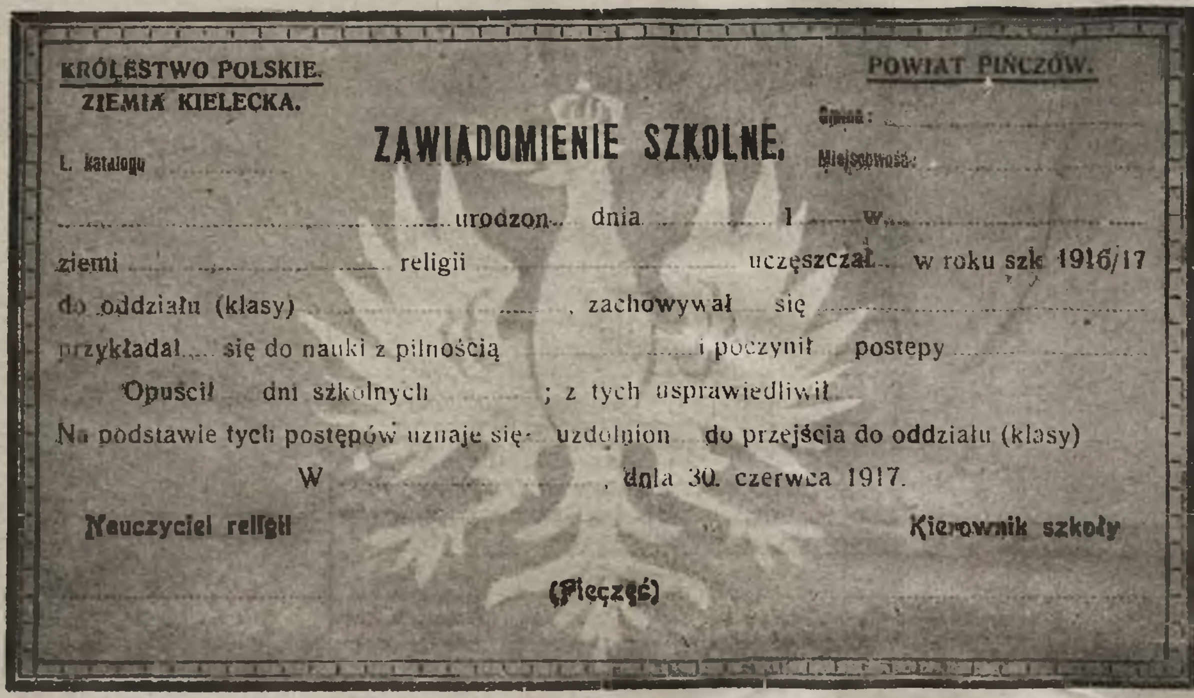
Rzesza niemiecka przechodzi gwałtowne przesilenie wewnętrzne i zewnętrzne. Wszystkie partye, z wyjątkiem konserwatystów i części narodowych liberałów, wysunęły stanowcze żądanie, aby Niemcy oświadczyły się za pokojem bez aneksyi, by rząd Rzeszy został sparlamentaryzowany, oraz, by demokratyzacya Prus przybrała natychmiast kształt widomy.

Ostatniemu życzeniu stało się już w części zadość. Cesarz Wilhelm wydał pismo odręczne do kanclerza, w którem zapowiada, że nowa ordynacya wyborcza do Sejmu pruskiego wesprze się na równem prawie wyborczem. W orędziu wielkanocnem obiecał cesarz reformę wyborczą w duchu jedynie bezpośredniego, tajnego i powszechnego głoso-





Postępy oświaty w Królestwie Polskiem: Dziatwa w ogrodzie szkolnym w Pińczowie. Praca dzieci w pasiece szkolnej, w jednej ze szkół powiatu pińczowskiego.


KRÓLESTWO POLSKIE.
ZIEMIA KIELECKA.
POWIAT PIŃCZÓW.
ZAWIADOMIENIE SZKOLNE.
Gmina: ...
L. katalogu ...
Miejscowość: ...
... urodzon... dnia ... 1 ... w ...
ziemi ... religii ... uczęszczał... w roku szk. 1916/17
do oddziału (klasy) ..., zachowywał się ...
przykładał... się do nauki z pilnością ... i poczynił postępy ...
Opuścił dni szkolnych ...; z tych usprawiedliwił ...
Na podstawie tych postępów uznaje się uzdolnion do przejścia do oddziału (klasy) ...
W ..., dnia 30. czerwca 1917.
Nauczyciel religii
Kierownik szkoły
(Pieczęć)

Postępy oświaty w Królestwie Polskiem Zawiadomienie szkolne (wojenne) pomysłu inspektora szkolnego p. Tarasa.

wania. Obecnie ziścić się ma postulat równości. Poprzednie orędzie nie wyznaczało terminu, obecne zakreśla go tak, iż nowa ordynacya miałaby wejść w życie przy najbliższych wyborach. Czasokres ten nie jest dostatecznie jasny i może dopuszczać tłumaczenie, że zmiana zajdzie dopiero po wojnie. W każdym razie nowe pismo cesarza Wilhelma jest krokiem naprzód po drodze, wytkniętej przez obecne żądania partyi.

Kto wie, czy nie ważniejszą jest wszakże sprawa formuły pokojowej. Kanclerz Bethmann Hollweg nie akceptuje, jakby się zdawało, pokoju „bez aneksyi". Wynikałoby to z ataków prasy liberalnej i centrowej na p. Bethmanna, w których nazywa się go „przeszkodą na drodze ku pokojowi". Partye skoalizowane przypuszczają bowiem, że w razie ogłoszenia przez Niemcy zgody na formułę bezaneksyjną, rokowania o pokój będą umożliwione już w czasie najbliższym. Do Berlina udał się zaś bawarski prezydent gabinetu, p. Hertling, który uchodzi za kandydata na kanclerstwo.


Przesilenie w Niemczech: Kanclerz Bethmann Hollweg

Wszystkie te fakty, aczkolwiek dotychczas nie można z nich wyciągać najdalszych konsekwencyi, wskazują, że dążenia pokojowe w Niemczech zaczęły wywierać decydujący wpływ na politykę wewnętrzną państwa. Dla przyspieszenia pokoju, stronnictwa nowego bloku domagają się, aby rząd stanął jasno i niedwuznacznie na stanowisku bezaneksyjnem i to zarówno wobec Rosyi, jak wobec mocarstw zachodnich. Żądanie to formułuje się jako powrót do stanowiska rządu i parlamentu w dniu 4 sierpnia 1914 r., kiedy to stwierdzonem zostało wyraźnie, że wojna ta jest dla Niemiec wojną tylko — obronną. Blok żąda zatem restytucyi tego stanowiska i jasnego określenia go bez wszelkich niedomówień.

W związku z tem dążeniem do pokoju, stawia blok swoje żądania co do reform wewnętrznych. Streszczają się one w dwóch punktach: wprowadzenie parlamentarnego systemu rządów i natychmiastowa reforma Sejmu pruskiego na zasadzie powszechnego i równego prawa głosowania.


Decydujące walki: Kolumna atakowa niemiecka na zachodnim froncie przed wyruszeniem z rowu strzeleckiego

Na głównym wydziale parlamentu ogromna większość mówców z posłem centrowym Erzbergerem na czele postawiła te żądania jasno i kategorycznie. Oprócz tego każde ze stronnictw tego bloku osobno zakomunikowało kanclerzowi te żądania jako zasadnicze. Mimo to kanclerz w półgodzinnej mowie nie dał na te żądania definitywnej i jasnej odpowiedzi. Powtórzył on w głównych zarysach swoje dawne na ten temat wywody, zadowalając się mglistemi określeniami. Wynikło stąd obok przesilenia politycznego także i personalne. Jakkolwiek bowiem kanclerz i rząd nie są związani opinią parlamentu, to jednak uważa się powszechnie za wykluczone, aby Bethmann Hollweg mógł pozostać w urzędzie, wbrew woli czterech piątych parlamentu.

Wskutek niejasnego stanowiska Bethmanna, punkt ciężkości przesilenia przesunął się na sprawę kanclerską. Kwestya osoby stoi w tej chwili na pierwszym planie. Bethmannowi ze wszystkich stron prezentują długie rachunki błędów, popełnionych w ciągu tej wojny we wszystkich dziedzinach polityki wewnętrznej, jak zewnętrznej.

Kanclerz jest odosobniony, ponieważ stosunki jego z prawicą są już oddawna bardzo złe, stosunku zaś z centrum i lewicą nie potrafił on uregulować i utrwalić. Brak decyzyi i stanowczości, który cechował politykę kanclerza wobec najważniejszych zagadnień polityki wewnętrznej i zewnętrznej sprawił, że dzisiaj ma on wszystkich przeciw sobie. Dla jednych jest zbyt postępowym, dla drugich zbyt reakcyjnym. Nie zadowalnia nikogo.


Decydujące walki: Ruiny miasta Lens, na zachodnim froncie, ostrzeliwanego silnie przez angielską ciężką artyleryę

Wewnętrzno-polityczną przebudowę Niemiec uznano już dawno za konieczną. Wyjąwszy najzagorzalszych konserwatystów junkierskich i najbardziej krzykliwych szowinistów, przekonanie to podzielają wszystkie stronnictwa i wszystkie politycznie dojrzałe żywioły niemieckie. Podziela je także oddawna kanclerz, który jednak realizacyę tej przebudowy wyobraża sobie jako proces bardzo powolny, przeprowadzany stopniowo i pedantycznie. Przez uznanie potrzeby tej przebudowy, popadł on już dawno w ostry konflikt z junkrami. Przez niezmiernie powolne realizowanie tej przebudowy, zepsuł sobie gruntownie stosunek do innych stronnictw.

Tej samej połowiczności hołdował kanclerz w ciągu tej wojny w dziedzinie polityki wojennej i zagranicznej. Dzisiaj na głowę jego spadają zarzuty, że zabagnił politykę niemiecką, otoczył ją mgłą niejasności i niekonsekwencyi, które wyzyskiwane umiejętnie przez wrogów Niemiec, naraziły je na ciężkie szkody i straty.

„Stan, w którym obecnie żyjemy — powiada dziennik tak umiarkowany, jak „Vossische Ztg." — jest nie do zniesienia. Wiemy, że jesteśmy dość silni, aby się obronić. Ale, czy jesteśmy dość silni duchem, aby rezultaty naszej siły narodowej przeistoczyć w sukcesy polityczne?"

Na to pytanie odpowiada pismo to ostrą, miażdżącą krytyką polityki Bethmanna. Na nic się nie zda ciągłe powtarzanie, czego Niemcy chcą, jeżeli nigdzie nie będzie powiedziane, jak mają osiągnąć to, czego chcą. Bo w tem właśnie leży błąd systemu, że nigdy nie zna się ani środków, ani dróg, prowadzących do celu. Ta nieudolność w wyborze środków ujawniła się zaraz w pierwszych dniach wojny, co więcej, nawet przed wybuchem wojny, kiedy sprawa wojny i pokoju rozstrzygała się dopiero. Mamy wielkie wątpliwości co do tego, czy należy poruszać wypadki tego czasu. Ale łańcuch tej nieudolności rozwijał się bez przerwy, od pierwszego dnia wojny, po dzień dzisiejszy. Okazywało się ciągle na nowo, że nie umie się znaleźć drogi do celu, do którego się dąży.

„Bardzo wymownym jest przykład Ameryki — powiada „Vossische Ztg." — Rząd pragnął mieć w Wilsonie pośrednika pokojowego. Stale zachęcał go do występowania z propozycyami pokojowemi. A w dniu, w którym prezydent Wilson był gotów uczynić krok decydujący, rząd niemiecki zaskoczył go ogłoszeniem zaostrzonej wojny podmorskiej. Pozostawiamy na stronie, czy narodowi niemieckiemu byłoby na rękę pośrednictwo Wilsona. Pozostawiamy niezbadanem, czy Wilson wogóle był gotów do uczciwego pośrednictwa. Ale droga, którą w tej sprawie szedł rząd, jest niezmiernie charakterystyczną: w Niemczech bowiem rząd nie tylko nie ujawnił swoich zamiarów, lecz, przeciwnie, zaprzeczał im uparcie. Nie tylko zatem nie zyskał zwolenników dla pośrednictwa Wilsona, ale owszem, pozwalał na to, aby niemiecka myśl polityczna rozwijała się na gruncie przekonania, że rząd nie pra-





Decydujące walki: Schroniska wojsk austryackich na włoskim froncie



Decydujące walki: Jedna z miejscowości, położonych na linii bojowej Arras—Lens, zniszczona zupełnie przez nieprzyjacielską artyleryę.





Ze sportu footbalowego: Epizody z matchu „Cracovii“ z czeską „Olympią“.

gnie pośrednictwa Wilsona i wątpi o szczerości jego intencyi. Kiedy wreszcie, wskutek takiego braku wszelkiego jasnego celu, uniemożliwiono sobie zupełnie dalsze prowadzenie rozpoczętej w Ameryce polityki, nie tylko nie zadano sobie trudu, aby Amerykę przygotować stopniowo do tej zmiany, ale przeciwnie, uczyniono nagle coś, co stało w najbardziej jaskrawej sprzeczności z czynami dnia poprzedniego. Rezultat: prezydent Wilson przedstawił politykę niemiecką przed nieprzyjaciółmi i neutralnymi jako dwuznaczną i obłudną. Teraz Wilson zaczął czynić starania około pozyskania kongresu dla wojny. Jakąż drogę wybrał rząd, aby temu zapobiedz? Oto ofiarował on Meksykowi za cenę sojuszu te właśnie Stany, których przedstawiciele w kongresie, właśnie ze strachu przed Meksykiem, opierali się najenergiczniej przeciw wojnie“...

Tak wygląda rejestr błędów kanclerza Niemiec.

Opinia, że Bethmann nie jest w stanie wprowadzić niemieckiej polityki wewnętrznej i zewnętrznej na te drogi, na których ogromna większość narodu pragnie ją widzieć, mianowicie na drogę ku pokojowi, ta opinia jest powszechną. Przeciw Bethmannowi są wszyscy. Różnice zachodzą tylko w tem, że, gdy skrajni konserwatyści i wszechniemcy wzdychają do t. zw. „silnego człowieka“, rade raczej ujrzeć dyktaturę, niż demokratyzacyę Niemiec z jednej strony a wyrzeczenie się zaborów z drugiej, to ogromna większość stronnictw domaga się takiego kanclerza, który da gwarancye, że gruntowną zmianę wewnętrznego systemu niemieckiego przeprowadzi szybko i sprawnie, że, przez jasne postawienie bez



Sezon operowy w Krakowie Jadwiga Stermich-Dębicka w „Uprowadzeniu z seraju“.

aneksyjnych celów polityki wojennej, stworzy podstawy dla rokowań pokojowych.

Jak się ostatecznie rozwikła to przesilenie wewnętrzne i zewnętrzne w Niemczech, streszczające się około osoby Bethmanna Hollwega, najbliższa przyszłość okaże.

Ze sportu footbalowego.

Duże zaciekawienie wśród sportowców krakowskich wywołał match, rozegrany ubiegłej niedzieli pomiędzy Cracovią, a czeską „Olympią“.

Z graczy Olympii przybyło dziesięciu członków, przez co odrazu przewaga była po stronie krakowskiej. Jednakowoż wynik (14:1 na korzyść Cracovii) trzeba przypisać przedewszystkiem wielkiej przewadze Cracovii w grze kombinacyjnej i widocznym, stałym, celowym training'om. Przeciwnik nie jest tak słaby, jakby można wnosić z wyniku. Przeciwnie, umie doskonale osadzać piłkę na miejscu, umie ją podawać i prowadzić. Bramkarz w pierwszej połowie grał nawet bardzo bacznie i szczęśliwie, odpierając z dużą umiejętnością brawurowe ataki Cracovii.

W pierwszej połowie klub krakowski zyskał 4:1, w drugiej atak Cracovii przebijał się z łatwością przez pomoc Olympii, której brakowało środkowego pomocnika. „Oblężenie“ bramki zamieniło się w regularne i wytrwałe. Każdy niemal z graczy Cracovii miał sposobność zrobienia goala. Te sukcesy Cracovii popierała w całej pełni chaotyczna gra przeciwników, całkowicie zdetonowanych przygniatającą przewagą klubu krakowskiego.

Ostateczny wynik 14:1 jest tylko stwierdzeniem pierwszoklasowości klubu krakowskiego.

Obecne sukcesy Cracovii pozwalają przypuszczać, że spotkania krakowskiego klubu z mistrzowskiemi drużynami obcemi dostarczałyby niezwykłych sensacyi sportowych.



Sezon operowy w Krakowie Józef Stępniowski jako Jontek w „Halce“



Ze sportu footbalowego Drużyna „Cracovii“

Piotr Zaccone

Tajemniczy zbrodniarz

Tłumaczyła: Marya Segeny.

6

Wrażenie to nie uszło również bacznej uwagi profesora, który pospieszył do nowego swojego ucznia w celu zatrzymania go jeszcze.

— Pułkowniku — rzekł, kłaniając się nisko — skoro pan ma zostać jednym z moich klientów, pozwoli pan się przedstawić tym panom, z którymi spotykać się pan będzie u mnie codziennie.

Pułkownik skłonił głowę na znak zgody.

Profesor ujął go więc pod ramię i podprowadził do grupy młodych ludzi, wymieniając jego nazwisko i tytuł, a każdy z nich odwzajemnił się w ten sam sposób.

Pan August jednak na sam koniec zachował barona Bonnet d'Eslairs.

— Pan baron Bonnet d'Eslairs — wyrzekł dobitnie — mój najlepszy uczeń, w którym znajdzie pan, o ile się mi zdaje, godnego siebie przeciwnika!

Usłyszawszy to nazwisko, pułkownik Robert uczynił ruch mimowolny i wpatrzył się uważnie w młodego człowieka.

— Pan baron Bonnet! — zawołał — A to ciekawe spotkanie!

— Nie rozumiem pana — odparł tenże ze zdumieniem.

— Oh, nic tak ważnego! Ale podobne przypadki zdarzają się w życiu.

— Co to ma znaczyć?

— Bo, widzi pan, należałem w Indyach do różnych ekspedycyi. Przebiegłem w ten sposób całe Indye we wszystkich kierunkach i w tym czasie, będzie już lat kilka temu, spotkałem tam człowieka, który uchodził za najbogatszego i najbardziej awanturniczego cudzoziemca, jakiego kiedykolwiek tam widziano.

— I ten cudzoziemiec nazywał się Bonnet d'Eslairs? — zapytał młody baron.

— Tak jest.

— Czy był Francuzem?

— Tak. Pochodził z okolic Marsylii.

Młody człowiek nie mógł opanować lekkiego drżenia, które przebiegło jego ciało.

— Pan znał osobiście tego człowieka? — zapytał zmienionym głosem.

— Przez kilka tygodni tylko — odpowiedział swobodnie pułkownik. — Był to chłopiec bardzo szczery o szerokiej naturze, umiejący żyć w szalony, nieobliczalny sposób. Przebyłem z nim kilka wieczorów i wystarczyło mi to, aby poznać w większej części jego życie.

— I był bardzo bogaty? — zapytał jeszcze baron.

— Nadzwyczajnie! Mówiono, że rozporządza milionami.

— Do dyabła!

— Oh! W Indyach podobne majątki nie są rzadkością — odparł niedbale pułkownik.

— I cóż się z nim stało?

— Mówiono różnie. Lat temu cztery, czy pięć, bo trzeba panu wiedzieć, że tam żyje się bardzo szybko, tak samo, jak szybko dorabia się majątku, aby go stracić jeszcze prędzej, słyszałem, że doszedł do ruiny zupełnej... Może nawet umarł, coby w tych warunkach było dla niego dobrodziejstwem. Ale przepraszam pana, panie baronie, nie chcę dłużej nadużywać grzecznej uwagi pana. Mam nadzieję, że się spotkamy tu jeszcze.

— Pan już odchodzi?

— Tak jest. Muszę się zająć moją installacyą. Wynająłem na polach Elizejskich willę i dziś właśnie dokładnie obejrzeć ją muszę.

— A więc zamieszka pan teraz w Paryżu?

— Przynajmniej na rok jeden.

— Nie zna pan tu nikogo?

— Jeszcze nie.

— A więc, sądzę, że nasza znajomość nie skończy się tylko na tem przypadkowem spotkaniu. Gdyby pan zechciał odwiedzić mnie kiedy, to przyjaciele moi i ja zapoznamy pana z miastem.

— Dziękuję bardzo.

— Oh, naturalnie nie znajdzie pan u nas egzotycznych rozrywek, do których pan był pewnie w Indyach przyzwyczajony, ale i Paryż ma swój właściwy urok pociągający i jestem pewny, że pan znajdzie i tutaj przyjemność!

Baron Bonnet i pułkownik, rozmawiając dalej z ożywieniem, wyszli ze sali fechtunkowej i znaleźli się na ulicy. Przed drzwiami domu stał powóz wspaniały, zaprzągnięty w dwa przepyszne konie. Stangret, ujrzawszy swojego pana, uchylił kapelusza i wyprostował się służbowo na koźle.

Pułkownik rzucił okiem na karetę i dostrzegł w oknie delikatny profil młodej kobiety, wychylonej cokolwiek.

— To pana ekwipaż? — zapytał barona.

— Tak jest.

— A więc nie chcę pana dłużej zatrzymywać, bo odgaduję, że pana oczekują niecierpliwie...

— Bystre ma pan spojrzenie! — zaśmiał się młody człowiek.

— Dosyć i rozumiem teraz, że Paryż również dobrze, jak i Indye, może mieć swoje atrakcye.

Młodzi ludzie uścisnęli sobie ręce serdecznie, poczem baron wskoczył do powozu, który ruszył szybko z miejsca.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

W powozie barona Bonnet d'Esclairs siedziała rzeczywiście młoda kobieta, znana w eleganckim i rozbawionym świecie Paryża, pod egzotycznem imieniem Olivia. Miała zaledwie lat dwadzieścia, była średniego wzrostu, o ruchach dziwnie wytwornych i estetycznych. Uroda jej nie była na pierwszy rzut oka uderzającą, ale oko było pełne ognia, usta foremne i drobne, biust ładnie utoczony, ręce delikatne i zgrabne.

Zaledwie od dwóch lat zajaśniała jako nowa gwiazda paryska. Baron Bonnet odkrył ją i utorował drogę na arenę światową. Od tego czasu nie opuścił jej. Olivia czuła się zupełnie szczęśliwą w gniazdku, które jej przyjaciel uścielił i nie myślała prędko z niego wylecieć. Co zaś do barona, który przeszedł już pierwszy okres młodości, to ten tak przyzwyczaił się do tego życia, że również nie myślał o zmianie żadnej. Zerwanie tego stosunku byłoby mu sprawiło wielką przykrość także i z tego powodu, że wzbudzał on zazdrość w jego przyjaciołach i otoczeniu.

Kiedy baron zajął miejsce obok młodej kobiety i kiedy powóz wjechał na bulwary, zdążając ku Polom Elizejskim, Olivia zwróciła się do towarzysza z pogardliwą miną:

— Nie byłeś sam, o ile mi się zdaje, mój przyjacielu — rzekła — i rozmawiałeś z człowiekiem, którego wcale nie znam.

— Nie mylisz się, moja kochana — odpowiedział baron. — Wyszedłem rzeczywiście z sali fechtunku z człowiekiem, którego sam nie znałem jeszcze przed chwilą.

— To cudzoziemiec?

— Przebywał dłuższy czas w Indyach. Jest to pułkownik Robert. Zamierza obecnie zamieszkać w Paryżu.

— Na stałe?

— Tak sądzę. Wynajął willę na Polach Elizejskich. Wiesz, tą, która była własnością tej biednej Flory.

— Numer 36?

— Tak jest. Właśnie zajęty jest urządzeniem nowego mieszkania. Zdaje mi się, że to bogaty człowiek, zaprosiłem go, żeby mnie odwiedził i przedstawię ci go.

Olivia uśmiechnęła się lekko.

— Przedstawisz mi go? I w jakim celu, mój drogi?

— Będzie to jedna znajomość więcej. Pułkownik nie jest jeszcze żonatym, dosyć młodym jeszcze i nie miałbym powodu odmawiać mu mojego towarzystwa i przyjaźni. Zresztą, przyznam ci się, że ze względów czysto osobistych chętnie porozmawiam z nim dłużej, czego nie mogłem uskutecznić dziś rano.

— Względy czysto osobiste — powtórzyła młoda kobieta. — Ależ trzeba było zacząć od tego! O cóż to chodzi, mój kochany?

— O rzecz dosyć szczególną.

— Doprawdy?

— Wyobraź sobie, że pułkownik przebiegł całe Indye i poznał tam pewnego Francuza, nazwiskiem Bonnet, którym się tam bardzo zajmowano.

— Nazywał się Bonnet? — powtórzyła młoda kobieta z zainteresowaniem.

— Tak. Awanturnik jakiś, który wiódł książęce życie i którego majątek wynosił kilkadziesiąt milionów.

— Czy to możliwe?! — zawołała Olivia.

— Wszystko jest możliwe w takim zaczarowanym kraju, jakiem są Indye. Ale, co byłoby doprawdy wspaniale, gdyby ten Bonnet był krewnym moim.

— Twoim, baronie?

— Spotykamy rzeczy bardziej jeszcze dziwne.

Podczas tej rozmowy powóz przejeżdżał przez Pola Elizejskie, krzyżując się z wieloma innymi ekwipażami, powracającym od Lasku Bulońskiego.

— Któraż to godzina? — zapytała młoda kobieta, ziewając lekko.

Baron spojrzał na zegarek.

— Wpół do dwunastej.

— Czy Henryk Berthand będzie na śniadaniu u nas?

— Obiecał mi przyjść.

— A więc wracajmy, zdaje mi się, że jestem strasznie głodna.

Baron wydał stosowny rozkaz stangretowi, który natychmiast skręcił powóz w stronę miasta.

Biła godzina dwunasta, kiedy Olivia ze swoim towarzyszem wchodziła do willi, znajdującej się w pobliżu tej, którą wynajął pułkownik Robert.

Przechodząc przez salon, młoda kobieta spostrzegła oczekującego już Berthanda.

— Oh! Jaki pan punktualny — zawołała — To bardzo dobrze, możemy zaraz siadać do śniadania!

Ale w tej samej chwili zauważyła cień na czole młodego człowieka.

— Co panu jest? — spytała życzliwie. — Jakiś pan smutny i przygnębiony.

— Nie jest to bez przyczyny — odparł Berthand.

— Cóż się dzieje?

— Coś dosyć tajemniczego.

— A więc opowie nam to pan przy stole. Mdleję z głodu. Niech pan idzie!

Usiedli do śniadania i Olivia, po zaspokojeniu pierwszego głodu, zwróciła się do młodego człowieka, który dotąd milczał uparcie:

— No, panie Henryku! Niechże pan mówi, o co chodzi! Jesteśmy oboje z baronem bardzo ciekawi tych wiadomości!

— Nie wiem, doprawdy — zaczął Berthand.

— Mów, mów, mój kochany! — zawołał baron. — Widzisz przecie, że umieramy z ciekawości!

— A więc tak, jak już wspomniałem, rzecz jest dosyć tajemniczą, a nawet ważną...

— Oh, oh!

— Przypominacie sobie zapewne te dwie okropne zbrodnie, popełnione przed kilkoma miesiącami; jedna w lasach ardeńskich, druga w Marsylii?

— Ależ oczywiście — zawołał baron. — Nie mogę o tem pomyśleć bez drżenia. I że też policya nie mogła dotąd odszukać przestępców! Czy może teraz odkryto coś w tym kierunku?

— Nie, to nie o to chodzi!

— A więc cóż takiego?

— Skoro pamiętacie przebieg tych zbrodni — ciągnął dalej Henryk Berthand — powinniście również wiedzieć, że pewien człowiek był podejrzywany o popełnienie morderstwa na rodzinie Valentin w Saint-Nicolas?

— Rzeczywiście.

— To był jakiś starzec — dodała Olivia, przysłuchująca się z uwagą. — Zdaje mi się, że się nazywał Leduc.

— Tak, Cypryan Leduc. Był on archiwistą. Jednakże wkońcu nie odkryto nic ważnego co do niego. Znaleziono tylko jego bilet wizytowy na miejscu zbrodni, zawezwano go do policyi, gdzie, po szczegółowem zbadaniu, nabrano przekonania, że Leduc nie miał nic wspólnego z mordercą, a fakt znalezienia jego biletu wizytowego był za mało ważny, aby go na tej podstawie uznać winnym.

— I wypuszczono go na wolność?

— I, zdaje się, że źle uczyniono.

— A cóż się stało z tym archiwistą? — zapytał baron.

— Otóż właśnie, nie wiadomo co się z nim stać mogło! Oświadczył podobno prokuratorowi, że sam wpadł na ślad mordercy i zobowiązał się dostarczyć w przeciągu sześciu miesięcy dowodów, stwierdzających to podejrzenie.

— I nie widziano go od tego czasu?

— Jeszcze nie. Naturalnie od dnia tego Leduc był pod ciągłym dozorem policyi; badano jego kroki i śledzono, a rezultat był taki, że nie znaleziono w jego postępowaniu nic podejrzanego. Policya byłaby może porzuciła całkiem tę sprawę, kiedy wydarzył się znowu fakt, który obudził jej uwagę...

— Co? Może jeszcze morderstwo?

— Tym razem chodzi o kradzież. Przed kilkoma dniami, kiedy przewożono z parowca,

powracającego z Indyi do Marsylii, worek z depeszami, w chwili, kiedy pociąg miał już wyruszać z dworca, spostrzeżono, że worek ten został otworzony i ktoś wyjął z niego jakieś akta, adresowane do ministerstwa marynarki.

— Takie rzeczy zdarzały się już nieraz, mój kochany, i nie rozumiem, jaki to związek mieć może...

— Miałbyś słuszność, gdyby nie zachodziła tu jeszcze szczególna okoliczność.

— Cóż takiego?

— Czy wiesz, kto się znajdował wówczas na dworcu w Marsylii?

— Cypryan Leduc?

— Tak, Cypryan Leduc!

— To jednak ciekawe!

— A widzisz! Powracał z Saint-Nicolas i był na dworcu w czasie, kiedy odkryto naruszenie worka.

— Ciekawy zbieg okoliczności!

— Jest on może bez znaczenia, ale jednak przez policyę musi być wzięty pod uwagę. Kiedy wiadomość ta doszła do szefa naszej policyi, wysłał on na miejsce zdarzenia najzręczniejszego swojego ajenta, który następnie śledził Cypryana Leduc w Paryżu i dowiedział się, że jeszcze przed dwoma dniami tenże przebiegł całą dzielnicę Belleville w poszukiwaniu pewnego robotnika, nazwiskiem Szymon, stolarz.

Do tej pory Olivia słuchała chętnie opowiadania młodego adwokata, nie okazując jednak zbytniego zainteresowania. Uśmiechała się od czasu do czasu, lub potakiwała ruchem głowy, ale, kiedy nazwisko robotnika zostało wmieszane do rozmowy, lekkie drżenie przebiegło jej twarz, a w oczach zapalił się błysk nagły.

— Szymon, stolarz? — powtórzyła machinalnie, zaciskając kurczowo nożyk trzymany w ręce.

Baron Bonnet i Henryk Berthand spojrzeli na nią, zdziwieni jej bladością.

— Czyżbyś znała tego człowieka? — zapytał baron niespokojnie, pochylając się ku niej.

Młoda kobieta uśmiechnęła się pogardliwie.

— Co za pytanie? — odrzekła podrażniona. — Gdzież mogłabym uczynić znajomość taka?

— Może sobie nie przypominasz, Olivio?

— Jesteś szalony, mój kochany!

— No, nie mówmy o tem więcej, skoro ci to nieprzyjemnie. Ale, wiesz Henryku, zastanawiam się, jaką łączność mieć mogą przechadzki do Belleville z tamtemi dwiema popełnionemi zbrodniami?

Ale młody człowiek nie zdołał już na to odpowiedzieć, bo w tej samej chwili wszedł do pokoju służący, niosąc na srebrnej tacy bilet wizytowy, który podał swojemu panu.

— Co to jest? — zapytał baron.

— Jakaś osoba przyszła i chce mówić z panem baronem. Powiedziałem, że państwo są przy śniadaniu, ale człowiek ten nalegał, żebym zaniósł jego bilet.

Baron wziął z tacy kartkę, przeczytał nazwisko i wydał lekki okrzyk zdumienia.

— Kto to taki? — zapytała zaciekawiona Olivia.

— Do dyabła! — zawołał baron — mówiliśmy niedawno o dziwnym zbiegu okoliczności...

— Któż jest ta osoba? — nalegała młoda kobieta.

— Przeczytaj sama.

Młoda kobieta spojrzała i pobladła lekko.

— Cypryan Leduc — szepnęła — Co to ma znaczyć?

— Co robić? — zapytał baron, silnie zdenerwowany, zwracając się do przyjaciela.

— Nie można się namyślać — odparła żywo Olivia. — Trzeba go przyjąć. Przyznam ci się, że jestem bardzo ciekawa go poznać!

— Niechże tak będzie — rzekł baron. — Proś tego pana!

Służący wyszedł, a w kilka sekund później ukazał się na progu Cypryan Leduc.

Obecni obrzucili go ciekawem, badawczem spojrzeniem. Ale stary archiwista, bez najmniejszego śladu zmieszania podszedł do barona i skłonił się przed nim lekko.

— Przepraszam pana najmocniej — rzekł uprzejmie — że przychodzę niepokoić pana o takiej porze, ale jestem bardzo zajęty w ciągu dnia i nie zawsze mogę rozporządzać swoim czasem.

— Pan jest archeologiem? — zapytał baron, patrząc ciekawie na gościa.

— Tak jest, proszę pana. Zajmuję się również genealogią i badam z zajęciem wpływ dziedziczności i rasy w poszczególnych rodzinach.

— Jest to rzeczywiście zajęcie bardzo interesujące!

— I zajmujące poważne miejsce w dziedzinie nauk wyższych — odparł z prostotą Cypryan Leduc. — Dzięki tej nauce, można ustalić prawa i stopień pokrewieństwa, grające ważną rolę w sukcesyach rodzinnych, w których interweniujemy z wielkiem powodzeniem.

— Ale to chyba nie sprawa tego rodzaju sprowadza pana dzisiaj do mnie — zapytał baron, już trochę zniecierpliwiony tym długim wstępem.

— Nie można wiedzieć! — odparł wymijająco Leduc, uśmiechając się lekko. — W podobnych poszukiwaniach pole jest bardzo rozległe i niełatwe do zbadania. W tych czasach, kiedy krzyżowanie ras i rodzin jest tak częste, nie wiadomo nigdy, czy kto nie jest krewnym jakiejś bogatej rodziny, która wymarła bez sukcesorów w prostej linii.

— A więc, proszę pana — przerwał baron żywo — jakiemuż motywowi właściwie mam zawdzięczyć wizytę pana?

— Tak, tak, wytłumaczyć się muszę — rzekł dobrodusznie stary archiwista. — Pan jest baronem Bonnet d'Esclairs, nieprawdaż?

— Oczywiście.

— I pan baron urodził się na południu?

— W Arles, gdzie przodkowie moi schronili się w epokach wojennych jeszcze.

— Nie pomyliłem się więc — wyrzekł Cypryan Leduc z widocznem zadowoleniem. — Teraz wyjaśniony zostaje punkt jeden, który dotąd był dla mnie niezbadany.

— Jaki punkt? — spytał baron, coraz z większem zaciekawieniem wpatrując się w swojego gościa.

— Do rodziny pana musiał należeć pewien Bonnet d'Esclairs, pochodzący z Saint-Nicolas... Opuścił on Francyę przed dwudziestu laty, nie dając odtąd znaku życia.

Błysk zdumienia przebiegł po twarzy barona.

— Ale cóż w tem widzi pan tak interesującego? — odparł żywo. — Jestem, czy nie jestem krewnym tego Bonnet d'Esclairs, to jednak nie mam powodu zajmować się tem pokrewieństwem.

— Przepraszam pana, panie baronie — rzekł poważnie Leduc. — Ma pan powody i to dosyć ważne i jeżeli pan pozwoli, przedstawię je panu jasno i krótko.

Słowa te zostały wypowiedziane tonem tak pewnym i stanowczym, że zastanowiły barona, jak również i Henryka Berthand. Zrozumieli natychmiast, że Leduc przyszedł tu z wiadomością, mogącą mieć wielkie znaczenie. Baron więc podszedł do niego i wymówił niespokojnym trochę głosem:

— Proszę, niech pan mówi, wysłucham pana z całą uwagą!

— Przypuśćmy — ciągnął dalej stary archiwista — że Bonnet, o którym wspominam, doszedł gdzieś na obczyźnie do wielkiego majątku i że umarł, nie pozostawiając bliższych sukcesorów i testamentu. Czy sądzi pan baron, że w takim wypadku nie byłoby rozsądnie zająć się trochę genealogią rodziny Bonnet d'Esclairs?

— Ależ naturalnie! Ma pan zupełną słuszność — odparł żywo baron. — Przypuszczam, że nikt z rodziny Bonnet d'Esclairs nie pogniewałby się, gdyby nagle mógł odziedziczyć kilka milionów franków!

— Oh! To mi się podoba! — zawołał Cypryan Leduc z zadowoleniem.

— I również pewnym jest pan jego śmierci?

— Tych dowodów jeszcze nie posiadam, ale mam prawo tak sądzić.

— A więc przybył pan podzielić się ze mną tą wiadomością, panie Leduc?

— Tak jest, panie baronie i ostrzedz pana jeszcze!

— Ostrzedz? Przed czem?

— Bo w niedługim czasie może zostać pan tak samo zamordowany, jak rodzina Lorain z gór ardeńskich i Valentin z Saint-Nicolas.

Na słowa te, wypowiedziane z dobroduszną ironią, baron Bonnet zadrżał silnie i spojrzał ze zdumieniem na Henryka Berthand.

— Zamordowany? — powtórzył po chwili. — Ja mam być zamordowanym? Ale w jakimże celu, panie Leduc?

— To przecież dosyć jasne, panie baronie.

— Niechże mi pan to wytłumaczy!

— Dzięki poszukiwaniom, uczynionym przez siebie, doszedłem do przekonania, że rodziny Lorain i Valentin spokrewnione były z Bonnet d'Esclairsami i że mogli korzystać ze sukcesyi tamtego Bonneta z Indyi. Jeżeli więc zostali zamordowani w okolicznościach, wiadomych panu, to znaczy, że komuś bardzo zależało na ich zniknięciu, aby pozostawić miejsce wolne dla sukcesora nieznanego, który widocznie nie chce się dzielić z nikim.

— A ten sukcesor? — zapytał baron.

— Nie znam go jeszcze — odparł Cypryan Leduc.

— A więc — wtrącił się do rozmowy Henryk Berthand — jakież są, według przekonania pana, osoby, które w obecnej chwili wziąć mogą udział w sukcesyi pana Bonnet i których bezpieczeństwo może być zagrożone?

Archiwista zastanowił się chwilę, poczem podjął znowu:

— Obecnie, o ile się nie mylę, ale jestem pewnym, że tu omyłki żadnej być nie może, do osób tych należy jedynie pan baron Bonnet d'Esclairs i dwoje dziewcząt, które przed lat parę powierzone były pewnemu robotnikowi, znanemu pod nazwiskiem Szymona stolarza i które zaginęły odtąd bez śladu.

Zaległa chwila ciężkiego milczenia. Nagle baron z okrzykiem trwogi zwrócił się do Olivii:

— Co ci jest, Olivio? — zawołał, pospieszając ku niej.

Młoda kobieta zbladła w jednej chwili i twarz jej wykrzywił kurcz nerwowy, podczas, kiedy w oczach jej zabłysło żywe, niepokojące światło.

— Olivio! — zawołał raz jeszcze baron, widząc ją bliską omdlenia. — Co ci jest? Powiedz! Skąd to nagłe wzruszenie?

Młoda kobieta przesunęła powoli ręką po czole, jak gdyby chcąc odpędzić myśl jakąś ciążącą i pierś jej uniosła się w ciężkiem westchnieniu.

— Cóżby mi miało być? — odparła, siląc się na ton swobodny. — Opowiadania wasze o tych okropnych morderstwach doprowadziły mnie do tego stanu zdenerwowania. Czy myślisz, że to przyjemny temat rozmowy i że nie mogę być wzruszona na myśl, że odtąd życie twoje będzie narażone na ciągłe niebezpieczeństwo?

Cypryan Leduc słuchał z uwagą tłumaczenia młodej kobiety i niedostrzeżony przez nikogo uśmiech przebiegł po jego twarzy.

— Ależ, kochana Olivio — wyrzekł serdecznie baron, wzruszony jej przywiązaniem. — Niepotrzebnie się może niepokoisz! Sytuacya nie jest może tak niebezpieczną, jak nam ją przedstawił pan Leduc. A zresztą, czyż nie potrafię sam bronić swojego życia, jak tego zajdzie potrzeba?

— Niepokoje pani są zupełnie słuszne — potwierdził poważnie stary archiwista. — Ale przecież we Francyi egzystuje policya, dobrze zorganizowana, do której pan baron po opiekę w każdej chwili udać się może.

— Oczywiście! — zawołał Henryk Berthand. — Niech się pani zbytecznie tak nie przejmuje! Mamy tu policyę, która nad baronem czuwać będzie i mam nadzieję, że pan Leduc, który tak dobrze jest powiadomiony o wszystkiem, dopomoże nam do odwrócenia tego niebezpieczeństwa.

Stary archiwista skłonił się w milczeniu.

— Zresztą, o ile się nie mylę — ciągnął dalej adwokat — zobowiązał się pan podobno w przeciągu sześciu miesięcy dostarczyć policyi dowodów, mających rozświetlić tę tajemnicę i wierzę, że będzie w możności wywiązać się wkrótce z tego zadania. Prokurator mówił mi dziś rano jeszcze o tem i nie omieszkam go zawiadomić.

Cypryan Leduc ruchem ręki przerwał słowa Henryka Berthand i na twarz jego wystąpił wyraz niezadowolenia.

— Przepraszam pana — odparł z lekką ironią w głosie. — Nie chcę w niczem sprzeciwiać się gorliwości pana i zapobiedz przypomnieniu prokuratorowi rozmowy, jaką mieliśmy niedawno. Tylko jeżeli pan rzeczywiście pragnie oddać przysługę panu baronowi Bonnet, to zechce pan odemnie dać prokuratorowi pewne ostrzeżenie...

— Ostrzeżenie? Jakie?

— Policya jest bardzo gorliwą i czynną w swojem działaniu, nie zaprzeczam tego wcale, ale bywa niekiedy i nieostrożną...

— To znaczy?

— Oh, nic wielkiego!... Zauważyłem, że co do mojej osoby, policya nie nabrała jeszcze zupełnego zaufania.. Upierają się tam podobno przy twierdzeniu, że nie byłem obcym w popełnieniu tych zbrodni, że może byłem wspólnikiem mordercy i śledzono mnie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z tygodnia.

Zaprzysiężenie Legionistów-Królewiaków.

O zaprzysiężeniu części Legionistów-Królewiaków, odbytem w Warszawie, w dniu 9. lipca, na podwórzu koszar na Solcu, wydano następujący komunikat:

„W obecności Tymczasowej Rady Stanu i duchowieństwa odbył się uroczysty akt zaprzysiężenia oficerów i żołnierzy, obywateli Królestwa Polskiego, należących do garnizonu warszawskiego i oddziałów, wydelegowanych przez inne garnizony.

Na obszernem podwórzu koszar stanęli oficerowie, za nimi oddziały, mające dokonać wojskowej powinności. Po przeglądzie, dokonanym przez komendanta Legionów polskich, pułk. Zielińskiego, któremu służbowy raport złożył komendant parady, major Zagórski, rozpoczęła się msza św., w czasie której miejsca przed ołtarzem zajęła Tymczasowa Rada Stanu i komendant Legionów polskich, obok stanęło liczne grono oficerów polskich, poddanych austryackich.

Mszę św., przy dźwiękach orkiestry 3 p. p., od prawił superyor Legionów polskich, ks. Panaś, kazanie wygłosił kapelan, ks. Antosz, poczem nastąpił akt przysięgi. Po komendzie do przysięgi, szef sztabu Legionów zaznaczył, że na rotę przysięgi, uchwaloną przez plenum Rady Stanu, na rozkaz Rady Stanu i komendanta Legionów polskich — złożyć ma ślubowanie na wierność Ojczyźnie i przyszłemu królowi polskiemu wojsko, by być podstawą i oporą rządu polskiego, poczem donośnym głosem odczytywał słowa roty. Za nim powtarzali je oficerowie i żołnierze.

Po dokonaniu przysięgi, odbyła się defilada przed komendantem Legionów polskich i Radą Stanu, poczem oddziały odmaszerowały do koszar."

Do powyższego komunikatu dodać należy, iż zapowiedziana poprzednio uroczystość zaprzysiężenia na stokach cytadeli — z różnych powodów odbyć się nie mogła. Akt cały ograniczono do czysto wojskowych rozmiarów i zaprzysiężenia dokonano na podwórzu koszar na Solcu.

Ludność chrześcijańska Warszawy wymiera.

Wielkie zainteresowanie na zjeździe hygienistów, który niedawno obradował w Warszawie, wywołał referat dra Kazimierza Baci, pod tytułem: „Ruch urodzeń i śmierci w parafiach warszawskich w latach 1913—1916". Autor, chcąc się przekonać, jaki wpływ wywarła tocząca się wojna na ruch urodzeń i śmierci w Warszawie, zbierał dane według ksiąg parafialnych wyznań chrześcijańskich (raptularzy) i według danych wydziału statystycznego przy gminie żydowskiej.

Liczba urodzeń wśród ludności chrześcijańskiej do 1. sierpnia 1915 roku nie tylko nie zmniejszyła się, lecz wzrastała stale, choć bardzo nieznacznie. Dopiero od sierpnia 1915 roku zaczyna się spadek liczby urodzeń. Porównanie liczby urodzeń i zgonów daje następujące liczby: Jeżeli wziąć dane ze wszystkich parafii chrześcijańskich, to okaże się, że w roku 1913 na 100 urodzeń wypadało 73 5 śmierci, w roku 1914 na 100 urodzeń wypadało 71 7, w roku 1915 na 100 urodzeń wypadało 133 07, w roku 1916 na 100 urodzeń wypadało 172 16 śmierci. Takie przerażające pogorszenie się stosunku urodzeń do śmierci i ustanie przyrostu naturalnego zależało i od wzrostu śmiertelności i od spadku liczby urodzeń. Liczba śmierci wzrosła niepomiernie w roku 1915, liczba urodzeń zaczyna się zmniejszać gwałtownie, począwszy od drugiej połowy 1915 roku, a w drugiej połowie 1916 roku wynosi mniej niż 1/3 liczby przed wojennej. W wyniku ostatecznym powiedzieć należy, że w ostatnich dwóch latach wojny ludność chrześcijańska Warszawy wymiera.

Porównanie liczby urodzeń wśród żydów warszawskich z liczbą śmierci, daje obraz statystyczny, który jest korzystniejszy w ostatecznym wyniku dla żydów, niż dla chrześcijan. Okazuje się, że w roku 1913 na 100 urodzeń wypadało 73 9 zgonów u żydów, w 1914 roku na 100 urodzeń wypadało 92·16 zgonów u żydów, w 1915 roku na 100 urodzeń wypadało 182 72 zgonów u żydów, w pierwszej części 1916 roku na 100 urodzeń wypadało 99 9 zgonów u żydów (172 16 u chrześcijan), w drugiej części 1916 roku na 100 urodzeń wypadało 71·46 u żydów (191 48 u chrześcijan). Porównanie liczby urodzeń chrześcijan i żydów daje wynik następujący: w roku 1913 na 100 urodzeń chrześcijan wypadało 37 urodzeń żydów, w jednej części 1916 roku na 100 urodzeń chrześcijan wypadało 82 urodzeń żydów, w drugiej części 1916 roku na 100 urodzeń chrześcijan wypadało 135 urodzeń żydów. Wysoka liczba śmierci i kolosalny spadek urodzeń dotyczą ludności chrześcijańskiej, która pod koniec wojny w Warszawie wymiera, podczas, gdy ludność żydowska, mimo wysoką liczbę śmierci, daje jednak naturalny przyrost.

Ameryka ku czci Kościuszki.

Pisma angielskie podają życiorys Tadeusza Kościuszki i zapowiadają na październik wielkie manifestacye i obchody patryotyczne, jakie będą miały miejsce w kilku wielkich miastach amerykańskich. W obchodach i manifestacyach będą brali udział nie tylko Polacy, lecz i wszyscy inni obywatele amerykańscy, wszelkich narodowości. Pamięć Kościuszki uczczona będzie przez wystawienie kilku pomników w różnych miastach amerykańskich. W senacie przemówi Wilson osobiście i uczci pamięć naszego bohatera. Koło zorganizowania festynów polskich krząta się również Ignacy Paderewski.

Odnalezienie tajnego archiwum ochrany rosyjskiej.

Niedawno temu obiegła prasę polską w Rosyi wiadomość o odnalezieniu w Smoleńsku cennych materyałów historycznych. „Echo Polskie" zamieszcza w sprawie tej następujące sensacyjne rewelacye:

„Zamieszkały w Smoleńsku p. Józef Raciborski, autor monografii o Kaliszu, oraz licznych prac historycznych, w roku 1916. zwrócił uwagę na zawartość starożytnych baszt smoleńskich z XVI. wieku, wypełnionych starymi papierami. Zawiadomiony o tem wydział opieki nad zabytkami w Moskwie wydelegował do Smoleńska p. Wacława Lednickiego, który zaprosił p. Raciborskiego do współpracownictwa z wydziałem moskiewskim w charakterze delegata na gubernię smoleńską, z uwzględnieniem przedewszystkiem niezbadanych przez nikogo archiwów, złożonych w basztach, dostęp zaś do nich ułatwiony został p. Raciborskiemu na skutek piśmiennego polecenia do miejscowych osób, wysłanego przez Lednickiego, naówczas prezesa Komitetu polskiego w Moskwie i Macieja ks. Radziwiłła.

Żmudna i wielce trudna praca ta, podjęta bez żadnych pieniężnych subwencyi, uwieńczoną została bardzo pomyślnymi wynikami, mianowicie wykryciem pod jedną z baszt obszernej piwnicy podziemnej, z wyjściem bardzo umiejętnie zamaskowanem, zawierającej nadzwyczaj ważne archiwa żandarmeryi i ochrany, ewakuowane z gubernii piotrkowskiej i kaliskiej, obejmujące obfite i bardzo cenne materyały, dotyczące Konina, Kalisza, Sieradza, Łodzi, Zduńskiej Woli, Pabianic, Częstochowy, Piotrkowa, Zagłębia Dąbrowskiego, Krakowa, Lwowa, Tarnowa i wielu innych miast i organizacyi politycznych, działających na terenie Królestwa Polskiego i Galicyi do roku 1915 włącznie."

Uniwersał ukraiński.

„Gazeta Polska„ (Moskwa) z 28. czerwca donosi:

„Centralna Rada ukraińska w Kijowie z prof. Hruszewskim na czele ogłosiła do narodu ukraińskiego manifest, nazywając go, wedle dawnych polsko-ruskich zwyczajów, uniwersałem:

„Narodzie ukraiński! Narodzie włościan, robotników i ludu pracującego!

Z woli twej stanęliśmy, Rada Centralna, na straży praw i swobód ziemi ukraińskiej. Najlepsi synowie twoi, wybrani po wsiach, fabrykach, koszarach żołnierskich, po wszystkich „hromadach", wybrali nas, Ukraińską Radę Centralną i nakazali nam bronić prawa i swobody.

Narodzie, wybrani twoi głoszą: Niech Ukraina będzie swobodną, nie zrywając z państwem rosyjskiem. Niech naród ukraiński na ziemi swej ma prawo sam się rządzić".

Po takim wstępie uniwersał powtarza raz jeszcze żądania Ukraińców, dające się streścić w czterech punktach: 1) by Rząd Tymczasowy wydał akt, stwierdzający, że nie sprzeciwia się autonomii Ukrainy, 2) by przy Rządzie Tymczasowym utworzono stanowisko komisarza do spraw ukraińskich, 3) by władzę na Ukrainie piastował wybrany przez Ukrainę, a zatwierdzony przez Rząd komisarz, 4) by część podatków, ściąganych z Ukrainy, była przekazywana Radzie Centralnej na bezpośrednie potrzeby Ukrainy.

Wszystkie te żądania zostały odrzucone przez Rząd Tymczasowy.

„Teraz, narodzie ukraiński, zmusili nas do stwarzania samym sobie naszego losu. Nie możemy pozwolić, by ojczyzna nasza upadła i rozprzęgła się. Jeżeli Rząd Tymczasowy nie chce podjąć się wielkiej pracy razem z nami, musimy ją wziąć na siebie.

My, Centralna Rada Ukraińska, wydajemy niniejszy uniwersał do całego narodu i obwieszczamy, że odtąd sami tworzyć będziemy nasze życie. Dlatego też niech każdy członek naszego narodu, każdy obywatel wsi lub miasta wie, że nastąpiła chwila wytężonej pracy".

Uniwersał nawołuje do zorganizowania ludu ukraińskiego, nawiązania stosunków z narodowościami zamieszkałemi na Ukrainie, które zapewne zechcą współdziałać z Ukraińcami.

„Gdy skończymy prace organizacyjne, zwołamy przedstawicieli wszystkich narodowości, zamieszkałych na Ukrainie i opracujemy prawa dla niej".

Pozatem uniwersał nakłada podatek na ludność Ukrainy na potrzeby organizacyjne.

„Dowiedź, narodzie ukraiński, że możesz dumnie i godnie stanąć obok każdego zorganizowanego, samowładnego narodu, jako równy każdemu".

Ogłoszenie uniwersału na Zjeździe wojskowym, oraz publiczne obwieszczenie go ludowi na placu Sofijskim w Kijowie, wywołało entuzyastyczne manifestacye.

Publiczne obwieszczenie połączone było z uroczystem nabożeństwem i olbrzymią demonstracyą."

Ludność Galicyi podczas wojny.

Ostatni zeszyt (za lipiec) miesięcznika *Odbudowa kraju*, podaje statystykę obecnej ludności w Galicyi, łącznie z obozami uchodźców i jeńców. Spis uskuteczniony został w kwietniu 1917 r. przez namiestnictwo dla celów aprowizacyjnych. Jako organa wykonawcze fungowały starostwa i gminy. *Odbudowa kraju* ogłasza po raz pierwszy wyniki tego wojennego spisu ludności wedle powiatów, wstrzymując się od oceny krytycznej i porównania rezultatów ze spisem przedwojennym:

Biała	85.020	Nisko	69.194
Bóbrka	102.984	Nowy Sącz	117.933
Bochnia	109.758	Nowy Targ	88.774
Brody	3.273	Oświęcim	63.503
Brzesko	97.167	Pilzno	48.669
Brzozów	86.649	Podgórze	41.097
Chrzanów	121.440	Przemyśl	153.365
Cieszanów	85.536	Przemyślany	70.450
Dąbrowa	69.557	Przeworsk	58.988
Dobromil	73.326	Radziechów	55.612
Dolina	113.831	Rawa ruska	100.694
Drohobycz	123.471	Rohatyn	97.851
Gorlice	71.311	Ropczyce	75.689
Gródek Jag.	75.272	Rudki	75.208
Grybów	50.620	Rzeszów	148.039
Jarosław	124.624	Sambor	108.288
Jasło	80.659	Sanok	121.494
Jaworów	71.339	Skole	45.249
Kałusz	130.652	Sokal	82.937
Kamionka Str.	60.942	St. Sambor	59.710
Kolbuszowa	69.322	Stryj	86.746
Kraków (okręg)	68.939	Strzyżów	55.604
Kraków (m.)	233.000	Tarnobrzeg	76.600
Krosno	65.461	Tarnów	107.633
Lwów (okręg)	105.774	Turka	66.353
Lwów (m.)	216.100	Wadowice	94.050
Limanowa	80.695	Wieliczka	70.629
Lisko	86.302	Zborów	7.000
Łańcut	81.132	Złoczów	91.406
Mielec	77.118	Żółkiew	77.109
Mościska	80.810	Żydaczów	75.834
Myślenice	94.146	Żywiec	120.154
		Razem . .	5,608.083

Kronika tygodniowa.

Jedną nogą udało się nam więc wyleźć z owego katastrofalnego miesiąca trzęsień ziemi, stojącego w ścisłym związku z plamami na słońcu, maluczko, a minie on już w zupełności, jeśli, ma się rozumieć, nie pomylił się ów uczony, który koniec jego zapowiedział na dzień dwudziestego lipca. Obeszło się, dzięki Bogu, bez trzęsienia ziemi, przynajmniej u nas i w naszem bezpośredniem sąsiedztwie, choć nie powinno się zbyt głośno krzyczeć: „hop!“, gdyż mamy przed sobą jeszcze cały tydzień, w którym wisi nad nami ów miecz Damoklesa, kronikę bowiem, z najwyższego rozporządzenia drukarni, zaczynam już w sobotę, a trudno przewidzieć, co nas spotkać może do czwartku, to jest do dnia ukazania się niniejszego numeru *Nowości illustrowanych*.

Mam przecież nadzieję, że jakoś to będzie. Do wszystkich tych kłopotów, jakie nas czekają, potrzeba jeszcze trzęsienia ziemi!... Wówczas nie pomoże i nawoływanie fizykatu miejskiego: „Mimo przeciwności nie upadaj na duchu!... bo, nie tylko na duchu, ale nawet na nogach nie będzie się człek mógł utrzymać.

Zwłaszcza kamienicznicy są w ogromnym strachu o los swych realności, budowanych według najnowszych wymogów techniki, grożących więc i bez trzęsienia ziemi zawaleniem. Córka jednego z nich, gdym zapowiadał, że kwestyę tę poruszę może w najbliższym numerze, zawołała z przerażeniem:

— Panie! Niech pan lepiej o tem nie pisze!... A nuż zwali się kamienica mojego papy!... Co będzie wówczas z mym posagiem, który jest na niej zahipotekowany?... Pisał pan przecież, że teraz interes na pierwszem miejscu, a serce dopiero na drugiem!

W tem strapieniu pocieszyłem ją przecież, że tak źle nie jest, jakby się wydawało, są bowiem jeszcze ludzie, kierujący się uczuciem, czego najlepszym dowodem list, jaki otrzymałem w dniu dzisiejszym.

Brzmi on, jak następuje:

„Panie Kronikarzu! Anons małżeński „Krzaka gorejącego“ przypadł mi do gustu, ba, powiem nawet, że wzruszył mnie do głębi. Jestem Panu wdzięczny, iż przytoczył go Pan w swej poprzedniej kronice. Takiej towarzyszki życia właśnie szukałem, a nie mogłem jej znaleźć!... Z tenoru ogłoszenia widzę, że jest to osoba prawdomówna, nie lubiąca się zbytnio chwalić, a, choć sama powiada, że jest starszą i brzydką, ja gwizdam na to!... Że jest starszą, to nawet lepiej, gdyż ma więcej życiowego doświadczenia, niż jakaś tam szesnastoletnia sroczka, co zaś do brzydoty, to rzecz względna!... Nie to ładne, co ładne, ale co się komu podoba. Piękność, to zresztą zaleta zewnętrzna, a ja szukam wewnętrznych. Serce, Panie, to u mnie grunt!... A z tego poznaję, że ona ma serce, wobec czego oświadczam kategorycznie, iż bardzo chętnie powiesiłbym się na tym „Krzaku gorejącym“, zwłaszcza, że posiadam wszystkie wymagane warunki. Jestem intelligentny, wykształcony, znajduję się w granicach przepisanego wieku, co zaś najważniejsze, zajmuję stanowisko nie tylko wyższe, ale nawet najwyższe w Krakowie, pełniąc obowiązki trębacza na wieży Maryackiej. Kolejarzem nie byłem nigdy i nie będę, tak mi Panie Boże dopomóż! Jeżeli znany Panu Kronikarzowi bliższy adres „Krzaka gorejącego“, proszę mi go podać odwrotnie, choćby w nieopłaconym liście, a będę Panu wdzięcznym do grobowej deski. Przyjm Pan... i t. d.“

W całym liście ani słowa o posagu! Strapiona córka kamienicznika, z którą serdecznie współczuję, odeszła odemnie pocieszona, nie obawiając się już trzęsienia ziemi i jego wpływu na jej ewentualne zamążpójście.

Dajmy jednak spokój tej sprawie, by niepotrzebnie nie wywoływać wilka z lasu! I bez trzęsienia ziemi katastrof w ciągu miesiąca było dość, że tylko wspomnę moją awanturę z Weronisią. Skończyła się, dzięki Bogu, (awantura, nie Weronisia!...) całkiem pomyślnie, pogodziliśmy się w zupełności, na czem ja wyszedłem najlepiej, gdyż kochająca małżonka, chcąc mi wynagrodzić cierpienia, karmi mnie teraz stale bobem, za którym, nawiasem mówiąc, przepadam. Jest to z jej strony dowód najwyższej łaski, świadczenie na mą korzyść nawet z uszczerbkiem dla budżetu domowego, gdyż bób płaci się dziś na wagę złota, niczem owe nowe ziemniaki, którymi Amerykanki zastępują drogie kamienie. Dlaczegóż jednak nie miałbym używać na bobie, choćby i drogim, zwłaszcza od chwili, gdy dowiedziałem się, że nie jestem takiem zerem, za jakie się dotąd uważałem, ale posiadam wartość, według słów pana fizyka Janiszewskiego, (referat, wygłoszony na Zjeździe hygienistów w Warszawie) przeszło dziesięciu tysięcy koron. Tyle warta również i moja lepsza połowa, Weronisia, bardzo też żałuję, że nie pomyślano dotąd o jakimś zakładzie zastawniczym, gdzie możnaby na ten klejnot otrzymać pewną zaliczkę. Kontentowałbym się nawet połową urzędowo stwierdzonej jej wartości...

Wracając jednak do bobu, muszę powiedzieć, że jest to pokarm bardzo zdrowy! Co zaś ważniejsze, nie można go fałszować, lub zastąpić jakimś małowartościowym surogatem. Wsunąwszy sobie na obiadek porcyjkę, idę potem na spacer na Błonia, by tam odetchnąć świeżem powietrzem, westchnąć gorąco nad naszą niedolą i rozradować oko ziemniaczkami, rozwijającymi się bardzo pięknie, choć powoli. Nie zeszły tylko te, których nie zasadzono. W ten sposób łączę przyjemne z pożytecznem, zdaje mi się bowiem, że jestem na wsi, choć za rogatki miejskie bynajmniej nie wyjechałem i mam materyał do prawdziwie wakacyjnej kroniki, opiewającej „sielski-anielski“ pobyt na łonie prawdziwej natury.

A wszystko to zawdzięczamy tylko owej wojnie, kto więc miałby zamiar zajęcia się opisem jej złych i dobrych stron, ma już gotowy temat przynajmniej do jednego rozdziału.

Na wyjazd z Krakowa, o ile do tego nie będzie człowiek zmuszony okolicznościami, pozwolić sobie na razie nie mogę. Horyzont polityczny zaciągnął się tak paskudnemi chmurami, iż można być przygotowanym na wszystko najlepsze i najgorsze, wytrawni nawet politycy nie mogą wyczuć, co w trawie piszczy i jeden pyta drugiego o cenne zdanie. A gdzież tu na wsi politykować i z kim, skoro mężczyźni we wojsku, a niewiasty zajęte gospodarstwem, lub obliczaniem zysków za sprzedane w mieście jajka, masło, jarzyny, owoce i t. d. I tu widoczne dobre skutki wojny, coraz częściej można spotkać jedwabne bluzki, atłasowe halki, rękawiczki, ba, nawet różne kosmetyki i mydełka pachnące, czego dotąd nie znały nasze poczciwe Kasie i Marysie. Dopiero wojna nauczyła je tego!

Choć i w mieście politykowanie jest obecnie także bardzo utrudnione, gdyż wymiana myśli potrzebuje odpowiedniej ilości wilgoci, a tę trudno znaleźć, gdyż rok 1917. jest wybitnie suchym, nie tylko pod względem opadów atmosferycznych, ale także i piwa. Wystarczy powiedzieć, iż słynne piwne źródło, czeskie Pilzno, ogłasza, że w jednym browarze wyrabiać będzie wodę sodową, w drugim zaś surogat, mający zastąpić piwo. Co zaś warte są surogaty, wiemy to z doświadczenia!

Kraków dostaje wprawdzie jeszcze nieco piwa i to nawet tak zwanego pilznera (pod tą nazwę podszywa się dziś byle jaka lura!), ale w ilości ogromnie ograniczonej, więc też personal restauracyjno-szynkarski, począwszy od samego właściciela, a skończywszy na najmłodszym chłopcu, uważa bacznie, by przypadkowo który ze „sztamgastów“ nie spuścił więcej, niż dwie bombki, co mogłoby być połączone ze szkodą dla innych, którzy, gdzieindziej już dwie wysączywszy, jeszcze tutaj nadejść mają, a cieszą się specyalnymi względami poszczególnych członków personalu. Bo, trzeba wiedzieć, że sympatye i antypatye, zwłaszcza w krakowskich lokalach śniadankowych, wchodzą i wchodziły zawsze w grę. Jedni goście lubiani są przez pana Jana, inni przez pana Romana, tych otacza względami Staś, tamtych Maryan lub Józek, starają się też specyalnie o nich, a reszta niech sobie czeka, lub puka!

Prosisz o drugą bombkę, dajmy na to, Maryan odpowiada ci:

— Pan dobrodziej wypił już dwie!

A od jego orzeczenia niema rekursu, nawet do władzy wyższej, choćby najwyższej, chyba na główny „verlag“, który jednak o tym czasie jest już zamknięty.

Wobec więc tych warunków, dyskusya polityczna jest utrudnioną, po pierwsze bowiem trzeba się spieszyć, by otrzymać swą przepisaną porcyę, gdyż może braknąć, po drugie, trzeba rozważać, jaką obrać drogę, by gardło zwilżyć, jeśli tutaj oświadczą:

— Piwo się skończyło!...

Na roztrząsanie kwestyi politycznych mało więc czasu pozostaje i to jest właśnie powodem, iż nie mogę powiedzieć już dziś, czy pan Bethmann Hollweg się utrzyma, czy też przejdzie w dobrze(?) zasłużony stan spoczynku, czy wojna się skończy, jak i kiedy, lub czy miał racyę szesnastoletni Hsuan Tung, że się ogłosił cesarzem chińskim i zaraz potem abdykował. Taki młody i już emeryt, bo chyba republikanie nie odmówią mu zaopatrzenia na starość. Republikanie i demokraci, to jedna graba, a wiadomo, choćby z naszych stosunków, iż demokracya bardzo chętnie uchwala honorowe emerytury, ciekawy więc jestem, dlaczego republika miałaby być gorszą.

Politykowaniu staje na przeszkodzie także i aprowizacya, stanowiąca dziś jeden z najbardziej aktualnych tematów rozmowy. Chleb, mąka, cukier, kawa, owoce, nabiał, jarzyny, węgle, nafta i tym podobne artykuły to przedmiot troski każdego, bez względu na to, czy posiada swe ognisko domowe, czy też grzeje się przy cudzem. Do tego trzeba dodać kwestyę ubraniową, mieszkaniową i im pokrewne, a zrozumie się łatwo, że można zapomnieć o szerszej polityce.

Bez głośniejszego echa przeszła też z tego samego powodu sprawa fundacyi jubileuszowej krakowskiej Kasy Oszczędności, mającej zakupić las bielański i Panieńskie Skały i urządzić tam park ludowy dla wygody i zdrowia mieszkańców. Powiedziano wyraźnie, że mają to być „płuca Krakowa“, na co się i ja zgadzam, stwierdzając przecież równocześnie, iż wielu jest malkontentów, mających może i słuszność, którzy mówią:

— Co mi tam płuca! Ryba płuc nie ma, a jednak żyje. Dziś żołądek to grunt!...

Owi jegomoście byliby niezawodnie bardziej zadowoleni, gdyby Kasa Oszczędności, na uświetnienie pięćdziesiątej rocznicy swego istnienia, zafundowała raczej jaką jubileuszową kiełbasę dla głodnego ogółu, bo, przyznać trzeba, dawno już nie mieliśmy żadnej gratisowej publicznej wyżerki (na koszt miasta).

W każdym razie jestem dumnym z owej fundacyi Kasy, zwłaszcza, że zaliczam się też do grona fundatorów (przyczyniłem się do zakupna bodaj jednego drzewka na Panieńskich Skałach, pozostając z tutejszym Zakładem zastawniczym w bardzo ścisłych od lat stosunkach), mogę więc ze swej strony tylko wyrazić słowa uznania i wezwać inne tego rodzaju instytucye do naśladowania pięknego przykładu.

Kraków, już rozszerzony, rozszerzy się w ten sposób jeszcze bardziej. „Park bielański“ będzie równocześnie i pamiątką obecnej wojny, o ile, *nota bene*, sprawa cała nie ugrzęźnie gdzieś znowu z powodu „nieprzewidzianych przeszkód“, jak się to u nas dzieje, weźmy na przykład choćby pomnik Kościuszki, internowanego od lat na podwórzu koszar Straży ogniowej. Miejmy nadzieję, że tak się nie stanie i że jeszcze w tem stuleciu będziemy mogli urządzać wycieczki do Parku ludowego na Bielanach i Panieńskich Skałach.

Chyba, że tymczasem spłonie cała Europa, jeśli Anglia pójdzie za radą przedstawiciela australskiej Izby przemysłowej, pana Oktawiusza Karola Beate i podpali wszystkie lasy niemieckie w godzinach popołudniowych w lipcu i sierpniu, gdy upały są największe. Wojna się wówczas niezawodnie skończy, ale nie jest bynajmniej wykluczonem, że pożar może się przenieść i na kraje sąsiednie, nawet neutralne, ba, zagrozić i samej koalicyi. Jedynym środkiem obrony, do którego mogłyby się uciec Niemcy, byłoby pokrycie całego kraju szklanym lub innym ogniotrwałym dachem, ale równocześnie, na podstawie dat statystycznych, stwierdza tenże sam pan Beate, iż na sporządzenie tego ochronnego środka braknie materyału, wobec czego Anglia powinna natychmiast przystąpić do dzieła i wysłać swych lotników nad Niemcy. Nadto należy się postarać, by w tym czasie, broń Boże, nie padał deszcz, wiał zaś wiatr jak najsilniejszy. Rewanż ze strony Niemiec jest wykluczony, gdyż Anglia nie posiada wielkich i łatwopalnych lasów.

Kto wie, czy ów pan Beate nie jest przypadkiem ajentem jakiegoś Towarzystwa ubezpieczeń od ognia, które chciałoby zrobić dobry interes na ludzkiej naiwności.

Czeka nas więc miła perspektywa!... jeśli nie śmierć pod gruzami zwalonego w czasie trzęsienia ziemi domu, usmażenie się żywcem podczas pożaru środkowej Europy (a może należałoby tymczasem wyciąć wszystkie lasy ze względów bezpieczeństwa?... przyp. zecera). Śmierć zaś taka, czy owaka, nie jest bynajmniej przyjemną, zwłaszcza, że i po śmierci nie dadzą nam spokoju, jak to widzimy z ogłoszenia urzędowego, zamieszczonego w *Gazecie lwowskiej*:

„T. IV. 9/17. 2. Zeznaniami zaprzysiężonych świadków i poświadczeniem zwierzchności gminnej w Korczynie z dnia 3. marca 1917. udowodniono, że X. Y., gospodarz w Korczynie, zmarł tamże przed trzydziestu laty. Gdy zatem można przyjąć, że zaistnieją warunki ustawowego domniemania śmierci w myśl § 24. ust. cyw., zarządza się postępowanie celem uznania wymienionej osoby za zmarłą, a zarazem ogłasza się wezwanie, aby udzielono wiadomości o zaginionym sądowi, albo ustanowionemu dlań kuratorowi. X. Y. wzywa się, *aby stawił się przed podpisanym sądem, lub w inny sposób dał znać o sobie*. Po dniu 15. października 1917. sąd na ponowny wniosek orzeknie ostatecznie o uznaniu go za zmarłego“...

Ogromnie jestem ciekawy, w jaki sposób zmarły przed trzydziestu laty X. Y. „stawi się w sądzie, lub da znać o sobie“?. Choć dzieją się na świecie cuda! Sam widziałem nieboszczyków, oddających głosy przy wyborach...

Zagadki do nagrody.

Łamigłówka.

Ułożył K. Przepolski, Kraków.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, podadzą datę święta narodowego.

– or
– ak
– ąb
– ra
– al
– wa
– ól
– li
– od
– ra.

Zadanie do uzupełnienia.

Ułożył S. Winter, Tarnów.

Przez dodanie odpowiednich spółgłosek utworzyć znane polskie przysłowie:

- - e - i - - ię - o, - a - - i - a - y - - o - u!

Logogryf.

Ułożył K. Przepolski, Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy, czytany z góry na dół, utworzy dwa imiona jednego z królów polskich.

□
□ —
□ — —
□ — — —
□ — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska 2. Dawna moneta rzymska 3 Część twarzy. 4 Ryba. 5. Ujście rzeki. 6 Inaczej niewolnica 7. Rzeka we Francyi S Imię męskie. 9. Zwierzę domowe 10. Litera grecka 11. Spółgłoska.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Z. Szymanek, Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Małko, gromy! Bo biegły mag goi w ogrodzie piegi O!

Logogryf.

Ułożył Z. Szymanek, Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczenin. Litery, wstawione w miejsce kwadratów, czytane z góry na dół, utworzą nazwisko wybitnego niemieckiego polityka (dwa wyrazy).

— — □ — — — — —
— — □ — — — — —
— — □ — — — — —
— — □ — — — — —
— — □ — — — — —
— — □ — — — — —
— — □ — — — — —
— — □ — — — — —
— — □ — — — — —
— — □ — — — — —
— — □ — — — — —
— — □ — — — — —
— — □ — — — — —
— — □ — — — — —
— — □ — — — — —

Znaczenie wyrazów: 1 Rodzaj szafki. 2. Przyrząd fizykalny. 3. Wiara w przeznaczenie. 4. Inaczej spotkanie. 5. Farba. 6. Kwiat 7. Choroba. 8. Inaczej głosowanie. 9. Dawna broń. 10 Gatunek lilii. 11. Jarzyna 12. Gatunek mszycy. 13 Zawód 14. Lekarz. 15. Gatunek psa.

Szarada.

Ułożył A. Kęs, Kraków.

Za przestępstwo cię czeka *pierwsza oraz druga,*
Czasem krótka, a czasem bolesna i długa,
Drugie zaś z pierwszem dawniej dobrze znane było,
Jako wielkie przekleństwo dla ludzi służyło;
Drugie z trzeciem duchowny jest pewnego ludu,
Do niego łatwowierni chodzą prosić cudu;
Wspak drugie, także pierwsze, trunek dobrze znany,
Dawniej więcej, lecz teraz mało używany;
Całość to broń mordercza. Ułóż wszystko składnie,
A szarada tak łatwa, że dziecko odgadnie!

Okienko.

Ułożył Ed. Składzień, Zawada.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy. równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a	a	a	a	a
a		e		e
g	g	m	m	n
n		n		n
r	r	t	w	w

Znaczenie wyrazów: 1. Cesarz rzymski 2 Stopień w hierarchii urzędniczej. 3. Inaczej kochanek.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Z. Szymanek, Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Burza i brzana, doza, rada i oda. dzida, udo, wóz, miło.

Bilety wizytowe.

Ułożył Ed. Składzień, Zawada.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób:

H. CZARNO

ROM ZD. TROGIS.

FER. NAGOT.

E. C PRISTENY.

R M ZARANY.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: **Album Legionów polskich.**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 27.

Łamigłówka literacka: Młoda Polska.
Igrzysko.
Córka Tuśki
Kaprys księżny
Idyota.
Emilia Plater.
Wiry.
Iskierki.
Czarna dama.
Złota nić.
Amen.
Duma o hetmanie.
Ascetka.
Maryna z Hrubego

Zadanie do uzupełnienia:
1) Na święty Duch w wodę buch.
2) Droga nie tuczy, ale rozumu uczy.

Okienko:

N	a	f	t	a
a		o		g
f	o	r	m	a
t		m		t
a	g	a	t	a

Zadanie do uzupełnienia:
1) Człowiek myśli, Pan Bóg kreśli.
2) Lezie, jak świnia w błoto.

Drabinka:

P	o	l	i	k	a	r	p
I	z	w	o	l	s	k	i
O	r	z	e	s	z	k	**o**
T	e	o	d	o	l	i	**t**
R	e	d	a	k	t	o	**r**
W	o	j	n	i	ł	ó	w
Ł	u	c	k	k	c	u	**ł**
A	n	a	t	o	l	i	**a**
S	o	f	o	k	l	e	**s**
T	e	o	f	r	a	s	**t**

Zadanie do przestawienia: Mądra i Kaśka, jak pełna faska.

Grzebieniówka:

M	**o**	**r**	**s**	**e**	**S**	**a**	**m**	**u**	**e**	**l**
o		o		k		s		z		i
n		s		s		t		u		c
i		s		p		r		r		z
u		o		i		a		p		e
s		w		a		c		a		b
z		s		c		h		c		n
k		k		y		a		y		i
o		i		a		ń		a		k

Zadanie do przestawienia: Najlepiej Bóg radzi o swojej czeladzi.

Zadanie do przestawienia: Na świętego Wojciecha już w polu pociecha

Bilety wizytowe: Segedyn. Liberzec Kołoszwar Lublana. Innsbruck

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: J. Jakubowska Kraków, A. Kosiński Zakopane, M. Wyka Kraków, D. Ligęza Kraków, D. Łodyńska Kraków, J. Roland Kraków, M. Planecka Kraków, H. Korytowski Cieszyn, A. Siatka Kraków, J. Kwaśniewski Krzeszów, W. Gebhardt Kraków. J. Sadowski Kraków, H. Trojacki Wiedeń, C. Wang Wadowice, K. Sawliński Jasło, I. Brzostowski Krosno, S. Karwowski Berlin, D. Łopatyński Kraków, M. Klappholz Kraków, D. Engelberg Wiedeń, J. Lisowski Oświęcim, S. Osadowska Rzeczyca, K. Radoszewski Sucha, S. Krzyżanowski Kraków, J. Rosenbaum Skawina, J. Krawecki Wadowice, W. Potocka Kraków, D. Karczmarski Podgórze, J. Zachara Biała, J. Łopatkiewicz Praga, L. Lang Kraków, B. Zbigniewicz Kraków, S. Sokołowski Kraków, L. Kozubski Wiedeń, K. Karpowicz Wiedeń, J. Sperling Wiedeń, S. Cegielski Poznań, F. Zając Bochnia, K. Kinalski Biała S. Bernatowicz Zakopane, M. Klimek Cieszyn, S. Lipski Wiedeń S. Skowroński Wiedeń, J. Jahoda Cieszyn, T. Biliński Oświęcim, A. Dużak Kraków, S. Jasiński, Budapeszt, J. Broda Mor. Ostrawa, S. Grodzicki Praga, S. Kamocki Przemyśl, J. Topolnicki Lwów, M. Wiśniewska Lwów, S. Bednarski Przemyśl, S. Jaśkiewicz Wiedeń, E. Winter Tarnów, E Bogdalska Koropuż, B. Książek Miejsce Piastowe.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **J. Łopatkiewicz, Praga.** — Upraszamy o nadesłanie 50 hal. na koszta poleconej przesyłki.

W Administracyi Nowości Illustrowanych

są do nabycia numera Nowości Illstr. z roku 1914:

28, 29, 30, 31, 32, 33, 34, 35, 39

poszukuje się zaś numerów z tegoż roku

38, 40, 43, 47.

Właściciele i wydawcy Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor M. Lipińska Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.